MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 7 | WARSZAWA 11 LUTEGO 1939 R | CENA NUMERU 80 GR

DOKOŁA WORCELLA

III

SKĄD się wzięło u nas przekonanie, że istnienie Czecho-Słowacji jest dla Polski szkodliwe? Można przypuszczać, że bardzo na tem zależało polityce niemieckiej. Fakty wskazują, że takie poglądy podzielane były w obozie, w którym nie brakowało ludzi chorych na Francję i Czecho-Słowację, i który postanowił zawrócić politykę polską z kierunku, nadanego jej przez Dmowskiego i Komitet Narodowy *(On revient toujours...)*. Ale jak to się mogło stać, że polityka nie spotkała się z wyraźniejszym sprzeciwem ze strony obozu narodowego, a nawet doznawała poparcia niektórych jego piór?

Wytykano u nas Czechom, z niezbyt zrozumiałą satysfakcją, że u nich panuje rozbicie partyjne. Och, ten Patowy i Radiowy liczman partyjnictwa! Sami Czesi, uważając to za objaw niepożądany, że obok paru poważnych liczbą i wpływem stronnictw istniały grupki, o których obcy dowiadywali się tylko z wystawiania list przy wyborach, podkreślali z dumą, że w życiu wewnętrznem stosują z powodzeniem sztukę kompromisu politycznego, i że ich rządy, choć koalicyjne, należą do najtrwalszych. Istotnie, w rządzie, w ciałach rządowych i samorządowych, zasiadają ludzie należący do różnych stronnictw — taki już jest styl ich życia politycznego. „Jak się zdaje — pisałem kiedyś — rzecz polega na tem, że ludzie ci, zwłaszcza z lewicy, nie upierają się przy swych zwyczajowych formułkach politycznych (socjaliści czescy są wcale tęgimi burżujami), godząc się na politykę kompromisu, która jest wcale, wcale nacjonalistyczna, często nawet, powiedzmy otwarcie, szowinistyczna".

Wytykano Czechom ich komunizm i związki z czerwoną Rosją. Pytałem o to wiele razy i stwierdziłem, że Czesi wcale się tem nie przejmowali. „Nie dlatego — pisałem znowu — żeby kraj był zarażony ideą komunistyczną, ale wręcz przeciwnie, dlatego, że komunizm czeski jest bardzo praktyczny i jakoś wcale nie rwie się do przewrotu. Przygodnie spotkany profesor jednego z czeskich uniwersytetów, katolik i należący do katolickiego stronnictwa, powiedział mi, że czescy komuniści są komunistami specjalnego pokroju: w gruncie rzeczy, to są tacy sami patryjoci, jak wszyscy Czesi. Czy mi się zdaje, czy to brzmiało nawet: tacy sami szowiniści?

Może Czesi się mylą, może starają się obcym przedstawić sprawę korzystniej, niż jest naprawdę, w każdym razie zamożność kraju czeskiego, zdrowy układ społeczny, duże upowszechnienie własności odbierają prawdopodobnie komunizmowi czeskiemu wiele cech znanych dobrze z innych krajów, pozbawiają go w znacznej mierze dynamizmu, a prawdopodobnie tylko w pewnym stopniu przyczynił się do obecnego, wyraźnie antyniemieckiego stanowiska komunistów fakt, że Niemcy są hitlerowskie. Sądzę, że sporo przyczyniał się do tego poprostu fakt, że ci komuniści byli Czechami. Stosunki ich z komunizmem rosyjskim jakoś społeczeństwa czeskiego nie przerażały. Wreszcie w komunizmie czeskiem nie odgrywali tej co u nas roli żydzi. Z tymi żydami sprawa była także interesująca. Wolnomularstwo, demokracja, równouprawnienie, oczywiście; przewodniki po Pradze dla cudzoziemców szczycą się posiadaniem jednej z najstarszych i najbogatszych gmin żydowskich; a w życiu codziennem, praktycznem, hasło „swój do swego po swoje" wykonywano także względem żydów, z daleko większą zaciętością i skutkiem, niż w Polsce...

Dziwnie gładko poszło rozwiązanie partii komunistycznej. Jak to kiedyś o Polsce w podobnej sytuacji powiedział językiem przyrodniczym Dmowski: Czesi przybierają barwę ochronną. Może ci sami ludzie, oblókłszy brązowe koszule, będą robili zbliżenie z nowym, nieproszonym przyjacielem.

Czechy masońskie! Cytowany już artykuł (M. N. nr. 52—53) przypomina, że Masaryk był wy-

bitnym masonem, że korzystał z poparcia wolnomularstwa, że jego towarzysze pracy: Benesz, Osusky i in. utrzymywali najściślejsze stosunki z lożami, otrzymywali na akcję czeską subwencje, że dzięki poparciu wolnomularstwa Czecho-Słowacja stała się tem, czem była, i że jej polityka była polityką wolnomularską. Prawda, wszystko prawda. Tylko — co stąd? Gdzie tu dla Polski powód dla popierania polityki rozbioru Czecho-Słowacji, albo choćby do satysfakcji, że tak się stało? *Distinguendum est.*

Polityka Masaryka nie była polityką masona, który dla celów wolnomularstwa tworzył narzędzie w postaci Czecho-Słowacji, lecz polityką Czecha, który dla swych celów narodowych posługiwał się wpływami wolnomularstwa. Czasu wojny sprawa polska stała o wiele mocniej wśród państw wojujących, niż sprawa czeska. Nas stać było na to, by prowadzić politykę niezależną, a oni korzystali z pomocy wolnomularstwa dzięki stanowisku, jakie w tych kołach zajmował Masaryk. Gdyby nie był z niemi związany, mógłby powiedzieć słowami Cavour'a: nawet z diabłem się sprzymierzę, jeżeli tego będzie wymagał interes ojczyzny. Ale on nie potrzebował tak dramatycznie się wyrażać, gdyż był masonem z przekonania, a w każdym razie życiem całem dowiódł, że wyzwolenia Czech szukał konsekwentnie w oparciu o wolnomularstwo. Wymieniony artykuł przypomina jego odezwę z 1915 r., która mówiła między innemi: „Wszyscy Czesi, znający dzieje swojego narodu, winni dziś wybrać między ideą czechosłowacką a austriacką". To język patrioty czeskiego przedewszystkiem. Przypomina też, że Komitet Czesko-Słowacki w Paryżu, korzystający z pomocy masonów i żydów, wydał w roku 1916 broszurkę p. t. *Détruisez l'Autriche-Hongrie.* Dmowski, nacjonalista, antysemita i antymason, sformułował hasło polityki polskiej temiż słowy: *Austria delenda est.* Czego to dowodzi? Że obaj mężowie stanu (bo i Masaryk nim był niewątpliwie) podobnie oceniali położenie, wytknęli polityce ten sam, nieubłaganie realistyczny kierunek i różnemi drogami zdążali do tego samego celu: bo umieli odróżniać rzeczy wielkie, zasadnicze, trwałe, od małych, nieistotnych, przejściowych.

Ale Czecho-Słowacja prowadziła politykę antykatolicką. Mogło to ranić nasze uczucia katolickie, lecz i to nie był powód do popierania polityki rozbioru Czecho-Słowacji; podobnie opieralibyśmy się samobójczej dla nas polityce rozbioru Rosji, choć tam wiara jest gnębiona z okrucieństwem, przypominającem pierwsze wieki chrześcijaństwa. Mimochodem jedna uwaga: żaden z katolików czeskich, z którymi rozmawiałem, nie skarżył się na prześladowanie kościoła w Czechosłowacji. Katolicy brali udział w rządzie. Inaczej było na Słowaczyźnie, ale myślę, że tam to był jeden ze sposobów wynaradawiania tego katolickiego ludu, aby go tem łatwiej przerabiać na Czechów. Nie jako masoni, lecz jako nacjonaliści (prawda, że niezwykłego autoramentu) powiedzmy: jako patryjoci-szowiniści spieszyli się gwałtownie z robieniem Czechów ze Słowaków i Polaków w tej zapewne myśli, żeby zwiększyć liczbę Czechów w państwie, zanim nadejdzie na nie godzina próby. Niemców sudeckich brali innemi sposobami, nie tykając ustalonych z dawien dawna stosunków. Tyrady Hitlera na ucisk czy nawet okrucieństwa były obliczone na Europę, i obliczone dobrze, jak się okazało w Monachium.

Czecho-Słowacja jako ognisko rewolucji światowej? Wolne żarty. Kto zna Czechów, ten wie, że do roli rewolucjonistów wcale się nie nadają, tak, jak nie można sobie wyobrazić w roli rewolucjonistki tej biednej Ligi Narodów, z którą polityka czeska konsekwentnie się związała. Wolno sądzić zresztą, że gdyby Czesi mieli do wyboru między własnym interesem, a interesem Ligi Narodów, toby bez wahania poszli za pierwszym, choć nie szczędziliby łez nad losami Ligi.

Powiedziałem, że trzeba rozróżniać. Nie możemy zapominać, że Czesi, poczuwszy się mocno w siodle, domagali się ziem „historycznie czeskich": Księstwa Cieszyńskiego, nie pamiętam już, może nawet Księstw Oświecimskiego i Zatorskiego; że domagali się umiędzynarodowienia Wisły na tej podstawie, iż górny jej bieg będzie do nich należał; że zdradziecko napadli na nas mimo umowy rozgraniczającej i zagarnęli nam półtora powiatu; że chcieli dostać i dostali Ruś Podkarpacką, którą początkowo traktowali jako depozyt, mający przejść do Rosji i stanowić korytarz łączący oba państwa, z naturalną konsekwencją, że Galicja Wschodnia nie będzie należała do Polski. (Nie wiem, czy to był plan masońsko-żydowski, ale teraz będzie go chciał realizować ktoś inny, nie bacząc na biegunowo przeciwną ideologię). Dlatego też zwrot tego kraju Węgrom, z któremi jest pod wszystkimi względami związany, byłby naturalnem i słusznem razwiązaniem sprawy. Dodaję zresztą, że Czecho-Słowacja z rozpędu domagała się takiegoż korytarza terytorialnego aż... do Adriatyku. Nie możemy zapomnieć ani tego, że transporty nasze przez Czecho-Słowację w czasie wojny z Rosją doznawały utrudnień, które władze czeskie składały na rozagitowanych robotników, ani pewnych przeciwpolskich posunięć czeskich. To wszystko prawda, jak i to, że Czecho-Słowacja popełniała wielkie błędy, np. opierając się restauracji Habsburgów, i wiele innych rzeczy. Ale trzeba znowu spojrzeć dalej i wyżej. Wszak mała dłoń tuż przed oczyma zasłoni górę wielką, ale daleką. Trzeba było pomyśleć, co o tych rzeczach mówił Dmowski. Mówił mniej więcej tak: Politycy czescy odpowiadają za siebie; polityka polska ma czynić to, co jej nakazuje interes polski, należycie pojęty, nie w skali dnia dzisiejszego, lecz w skali historycznej. Dla ludzi małych tyle jest powodów do zwalczania Czechosłowacji! Ale to nie jest sprawa stosunku polityków czeskich do nas, nawet nie stosunku pokolenia; to sprawa ustalenia stosunków na bardzo długo.

Ach, mówiąc tak, Dmowski myślał z pewnością o tych czasach, kiedy markgrafowie i cesarze podburzali szczepy słowiańskie nawzajem przeciw sobie, aby się własnemi rękoma tępiły, aż między Łabą i Odrą zaległo jedno cmentarzysko, na którem mogli wznieść gmach swego panowania: *ubi solitudinem faciunt....* I myślał pewnie, żeśmy, do diabła, powinni być mądrzejsi.

A wystawiwszy taki rachunek Czecho-Słowacji (zgódźmy się, że to jeszcze nie wszystko) zwróćmy się jeszcze w drugą stronę i zapytajmy, czy polityka polska próbowała szczerze porozumieć się z Czechami, w imię interesu obu narodów? Znając Czechów, można zgóry powiedzieć, że myśli takiej *a limine* nie odrzuciliby z pew-

nością. Mogli z nimi rozmawiać Dmowski i Skirmunt, Seyda i Skrzyński, nawet Zaleski. Tymczasem od szeregu lat słychać było o różnych posunięciach ze strony Polski, nie wyłączając zaciętej kampanii pewnych organów prasy, które musiały położenia nie ułatwiać, lecz je poważnie utrudniać. Trzebaby też wiedzieć, czy tych półtora powiatu Zaolzia Polska nie mogła odzyskać w innych warunkach, bez katastrofy Czecho-Słowacji. Trzebaby móc zbadać tę politykę, o której pisze p. Mackiewicz, że pomogła do rozbioru Czecho-Słowacji, stwierdzić, ile tam było pierwiastka osobistego, ile „ideologii", ile świadomej rachuby. Trzebaby wiedzieć, co wpłynęło ostatecznie na to, że Czesi porzucili myśl oporu zbrojnego? Trzebaby wielu rzeczy....

P. minister spraw zagranicznych po przyjęciu przez rząd czesko-słowacki warunków polskich powiedział, że teraz rachunki między obu narodami zostały wyrównane i że nic już nie stoi na przeszkodzie dobrym sąsiedzkim między niemi stosunkom. I p. Frycz pisze (M. N. 44), że teraz już „z małemi Czechami musimy być w zgodzie, z Czechami mającemi nienaturalne pretensje do przewodzenia w Słowiańszczyźnie i własnej gry politycznej nad Dunajem, w zgodzie być nie mogliśmy". Przedewszystkiem konieczne jest „związanie gospodarcze i połączenie Czech ze strefą portu Gdyńskiego".

Nie takie to proste. Naprzód trzeba się liczyć z psychologią (w Polsce, gdzie uboga prasa zdana jest na Pata, mało się wie o stanowisku opinii publicznej zagranicą wobec Polski). Za to, co się stało, Czesi mogą mieć większy żal do sprzymierzonej Francji, niż do Niemiec, którzy byli wrogami, i od których ostatecznie zawsze się tego można było spodziewać; ale największy żal mogą mieć do pokrewnej — tak jest — Polski: *On n'est trahi que par les siens,* — powiada francuskie przysłowie. Nicby nie było dziwnego, gdyby Czesi nie chcieli teraz zgody, którą im z polskiej strony ofiarowano. Idę dalej. Gdyby Czesi powiedzieli sobie, że Europa drogo zapłaci za ich upadek, i gdyby stanęli na stanowisku: im gorzej tem lepiej, i temubym się nie zdziwił, choć wolę mieć nadzieję, że tak nie będzie. Ale jest jeszcze rzecz ważniejsza od c h c e n i a Czechów: w położeniu, w jakiem się znalazła Czecho-Słowacja, nie jest już ona wyłączną panią swej woli — i to można było przewidzieć z matematyczną pewnością.

Zarzucano u nas Czechom (niestety znowu za p. Bocheńskim) że nieraz w przeszłości szły razem z Niemcami. To prawda. Ale czy dlatego, że chcieli, czy też, że musieli? Czecho-Słowacja mogła prowadzić politykę niezależną od Niemiec, gdy zajmowała swoją geograficzną i historyczną twierdzę w Europie środkowej. Teraz już nie Czesi, ale Niemcy zajmują łańcuchy gór, które z trzech stron broniły równiny czeskiej i morawskiej, tę czeską linię Maginot'a. Czecho-Słowacja nie będzie mogła robić tego, na co Niemcy nie pozwolą, a nieraz będzie musiała robić to, czego Niemcy będą od niej żądały. Możemy być pewni, że to nie będzie w interesie Polski. I nawet to otwarcie Gdyni dla Czecho-Słowacji, o którem jako o rzeczy realnej pisałem przed wielu laty, dziś już bodaj będzie niemożliwe, bo Niemcy wymuszą na Czecho-Słowacji, że skieruje swój handel do portów niemieckich, Szczecina i Hamburga. Pisano u nas (M. N. nr. 44), że Czecho-Słowacji pozostaje do wyboru zgoda na wejście w obręb polskiego, albo niemieckiego systemu Europy środkowej. Ale teraz takiego wyboru niema!

IV

Układ terytorialny wersalski urzeczywistniał pewną myśl polityczną — przypomniałem już, jaką — i tworzył pewien stan równowagi, w którym powrotne dążenie Niemiec do hegemonii w Europie, a może i w świecie, napotkać musiało system obronny, złożony z szeregu państw możliwie silnych i zdolnych do samodzielnej polityki w czasie pokoju, do obrony orężnej w czasie wojny. Państwo Czecho-Słowackie w tych granicach, w jakich zostało utworzone, miało odgrywać w tym systemie pierwszorzędną rolę. Pomyślmy choćby tylko — Dmowski o tym pamiętał — że napór niemiecki na Śląsk nie mógł być groźny, gdy o kilkadziesiąt kilometrów, po drugiej stronie wąskiej zatoki niemieckiego Śląska, wznosił się bastion czeski. Wrazie napaści na Polskę, mieliśmy zabezpieczone lewe skrzydło, z możnością znakomitego skrócenia frontu, z perspektywą połączenia go z frontem czeskim, który wysuwał się daleko na zachód, ku możliwemu frontowi francuskiemu. A my mamy wierzyć, że Czecho-Słowacja, właśnie w tej postaci była dla nas nie do przyjęcia? Jakaż inna może odegrać tę rolę, do której tamta w Wersalu została powołana?

Mówią nam, że to był twór sztuczny, że musiał ustąpić przed koniecznościami etnograficznemi. Jednocześnie o Węgrzech p. Frycz pisze, że zwycięży zawsze to, co leży w naturze rzeczy i w tych impoderabiliach, jakie wytwarza geografia i historia. Doskonale. Tylko bądźmy ostrożni z zasadą etnograficzną, bo ją przemoc tłumaczy zawsze na swoją korzyść kosztem słabszych: przypomnijmy dawną sprawę oderwania Chełmszczyzny i nową sprawę Rusi Podkarpackiej [1]). I właśnie czworobok czeski stanowi wspaniale zarysowaną całość geograficzną, która tak dalece decydowała o losach tego kraju, że od wieków nikt inaczej go nie traktował — tylko, jako całość, a niedawno jeszcze i same Niemcy nie myślały o niczem więcej, jak o autonomii ludności niemieckiej wewnątrz geograficznej i historycznej twierdzy czeskiej. Dlaczego Słowacczyzna musiała być przyłączona do Czech, o tem znowu powie nam Dmowski. I powie także, dlaczego nie było co bałamucić się pomysłami przyłączenia Słowacczyzny do Polski. I przynależność Rusi Podkarpackiej do Czecho-Słowacji, choć była skierowana przeciw Polsce, była mniejszem złem przed Monachium, niż teraz, gdy jest mniejszym kraikiem.

Ale zapytajmy, czy Czecho-Słowację mogą dla Polski zastąpić Węgry, czy systemat jagielloński jest równie realny, jak znaczki jagiellońskie wydane przez naszą pocztę?

BOHDAN WINIARSKI

(D. c. n.)

---

[1]) W tej sprawie Worcell czyni kapitalną obserwację: „Dodajmy... tę odwieczną i jakby wrodzoną przywarę, której wolni Niemcy pozbędą się zapewne, ale nie tak doraźnie, dodajmy ich chętkę osiedlenia się w cudzyźnie i bezecny nałóg... poczytywania za niemczyznę każdą piędź ziemi, po której Niemiec stąpi, każdy kąt świata, gdzie tylko zabrzmi niemiecka mowa, bądź w Polsce, bądź w Czechii lub Węgrzech, zaledwo że nie w Ameryce"... (str. 30).

JAK POWSTAŁA LIGA POLSKA? (Dokończenie)

NIE APROBOWAŁ też sposobu powołania do życia we Lwowie organizacji Erazm Kobylański, który już wówczas był w stałej korespondencji z T. T. Jeżem. a później w r. 1886 został głównym agentem Ligi Polskiej na zabór rosyjski i był przez kilka lat głównym jej działaczem na gruncie warszawskim, gdzie występował pod nazwiskiem Michała Borkowskiego.

Pisał tedy Kobylański w liście do T. T. Jeża, datowanym 10 czerwca z Warszawy co następuje:

„Pamiętacie Szanowny Panie, iż w liście do mnie i do innych podnosiliście myśl założenia „Ligi ku obronie praw narodowych". Z tej pięknej myśli skorzystano i zwichnięto projekt ten w Galicji. Zapewne doszła do Was odezwa „Centralizacji Ligi Polskiej". Odezwa tak niejasna i dwuznaczna, nie wiadomo o co chodzi autorom, do tego nosi sztampilę galicyjską. Pieczęcie tu nie pomagają. Odezwa powinna przemawiać sama przez się. Nikt tu nie solidaryzuje się i nie uważamy za stosowną i odpowiednią formę, w jakiej to zrobiono, to też nikt nie przyjął w niej udziału. Piszę to do Was, albowiem wiem, iż autorowie tej „Ligi" zaczęli zwracać się do Was, Szanowny Panie. Wiem genezę i nie przyjąłbym nigdy w niej udziału z różnych względów, a mam poważne ku temu powody".

Do tej samej sprawy powrócił w liście z dn. 5 lipca i te same wyprowadził opinie i dodawał:

„W kraju odezwę tę bardzo obojętnie przyjęto i nie sympatyzują z nią. Jednak w kraju zaczyna się budzić życie i być może w niedalekiej przyszłości można będzie stworzyć w kraju silne ogniska narodowe i rzeczywistą Ligę",

Jakie były robione zabiegi, by pozyskać T. T. Jeża i skłonić go do tego, by stanął na czele nowej organizacji — nie wiemy. Znane nam jest natomiast dokładnie końcowe stadium tych zabiegów.

Opowiada Jeż w swych pamiętnikach[1]), że przyszedł do niego Bandurski, mieszkający stale w Genewie i prosił by, udał się niezwłocznie do Bartkowskiego.

„Bartkowski — opowiada Jeż — emigrant powstania listopadowego, eksnauczyciel języka niemieckiego szkół średnich we Francji... był to człowiek zacny i poważny, nie usposobiony atoli do traktowania ważnych publicznych zwłaszcza interesów... na emigracji należał do tych co dla spokoju duszy zdaleka się od stronnictw politycznych trzymali, a nie sympatyzując z pomawianą o kłótliwość demokracją, szlusowali do stronników hotelu Lambert".

Do tej informacji dodamy na podstawie ustnej informacji otrzymanej od Władysława Jabłonowskiego, że zarówno Bartkowski jak Bandurski, obydwaj ludzie bardzo zacni, byli członkami loży w Genewie — raczej dla względów praktycznych, niż ideowych.

[1]) Zygmunt Miłkowski: „Skarb Narodowy Polski. Nieco o Lidze Narodowej. Rozdział jeden z Pamiętnika od kolebki przez życie". Lwów. Nakładem Tow. Wydawniczego. 1905. Str. 31.

U Bartkowskiego zastał Jeż Brauna, zięcia Bartkowskiego, Bandurskiego i Michalskiego.

Chodziło oczywiście o danie temu ostatniemu okazji do rozmówienia się z Jeżem o sprawach publicznych. Ludwik Michalski pochodził z Krakowa i nazywał się właściwie Matyasek. Urodzony w r. 1836 brał udział w powstaniu 1863 r., a potem emigrował do Szwajcarii, skończył politechnikę w Zurichu, a następnie w r. 1868 na wyspę Sumatrę, gdzie dorobił się dużego majątku. Powrócił do Szwajcarii w r. 1875, poznali się z Jeżem w r. 1876; był bardzo czynny w stowarzyszeniach polskich w Szwajcarii, interesował się Muzeum Rapperswilskim i ideą Skarbu Narodowego. Jego nakładem wyszła w Paryżu broszura Jeża „Rzecz o obronie czynnej i Skarbie Narodowym" na początku r. 1887. Był w bliskich stosunkach osobistych z Maksymilianem Hertlem (w listach pisał doń Hertel „Kochany Ludwiku"). Michalski tedy widocznie wziął na siebie pozyskanie udziału Jeża w organizacji i kierownictwie Ligi.

Rozmowa o której pisze Jeż w swych pamiętnikach nie dała żadnego wyniku.

„Zagajenia — pisze Jeż — dokonał Bandurski, obdarzony z natury zdolnością wykładania w sposób niezrozumiały dla słuchaczów najpojętniejszych... Zagajenie przeto jego pozwoliło mi jeno domyślać się, że interes wychodzi poza obręb Związku Towarzystw polskich w Szwajcarii. W domyśle tym utwierdziło mnie odezwanie się Michalskiego krótkie, proste i wykazujące obowiązek emigracji służenia sprawie polskiej. Na tem tle wywiązała się nie dyskusja, ale gadanina, w której udziału nie brałem... Rozeszliśmy się koło północy... nietylko żadnego w interesie ważnym nie powziąwszy postanowienia, ale o interesie owym nie dowiedziawszy się niczego. Michalski milczał..."

Dlaczego Michalski milczał? Dowiadujemy się o tem z listu jego do Jeża z dn. 4 czerwca 1887 roku:

„Będąc u Pana w odwiedzinach w Genewie miałem zamiar pomówić w Sprawie ogół obchodzącej, lecz ponieważ mieliśmy świadka, a sprawa według życzenia inicjatorów ma być sekretnie prowadzona, więc wstrzymałem się i obecnie pozwalam sobie, o ile mnie jest wiadomem, tę rzecz przedłożyć".

Po tym wstępie tak wykłada Michalski sprawę swoją:

„W skutek broszury pańskiej „O obronie czynnej" zawiązała się w kraju tajna organizacja mająca na celu zrealizowanie a przynajmniej przyczynienie się do wprowadzenia w życie myśli w broszurze zawartych. Zebrała się garstka ludzi czynu, która coraz szersze koła roztacza i tak w Kongresówce, jak Litwie, Galicji i Poznańskiem ma swoich zwolenników biorących się szczerze do pracy.

Nie zapomniano i o emigracji, i zakomunikowano mi życzenie i prośbę nie będąc osobiście znanym Sz. panu, aby Go zawiadomić o formowaniu się „Centralizacji Ligi Polskiej" — tę nazwę

przyjęto—i zaproszeniu Go do przystąpienia do tej Centralizacji jako członka.

Osobiście nie znam nikogo biorącego w tej sprawie udział, wyjąwszy Maksymiliana Hertel, inżyniera emigranta z r. 1863, mającego posadę w ministerstwie dróg i mostów w Paryżu, a któren zapewne i Sz. panu jest znany; — do „Dyabła" krakowskiego pisze pod pseudonimem Asmodeusz. Otóż do tego człowieka mam zupełne zaufanie i dla tej przyczyny pozwalam sobie i Panu tę sprawę zakomunikować.

Idzie inicjatorom o to aby akt założenia był podpisany przez 5 z kraju a 4 z emigracji, do których Pana i mnie zaliczono.

Odezwę, którą wczoraj odebrałem, załączam, jak mi ze Lwowa piszą, odezwa ta nie jest jeszcze przeznaczona do ogłoszenia wszystkim w kraju, znają ją tylko komitety prowincjonalne oraz naczelnicy policji Ligi, a więc musi jeszcze pozostać w tajemnicy.

Nazwę Ligi przyjęto według propozycji broszury...

Spodziewając się przychylnej odpowiedzi, pozostaję..."

Powraca Michalski do tej sprawy w liście z dn. 12 czerwca 1887 r., w którym zawiadamia, że jedzie do Paryża, gdzie będzie się widział z Hertlem. W piśmie tem podaje wyjątki z listu, jaki otrzymał od Hertla:

„W Krakowie komitet stanął — proś J. (t. j. Jeża) aby do Hirszberga, kustosza bibl. Ossol. napisał zachęcając, bo ten ostatni jest przeświadczony, że na czele Centr. jest J. Ty i ja — inaczej według tego co mi donoszono byłby się do roboty nie wziął"...

Po powrocie z Paryża pisze Michalski do Z. Miłkowskiego (list datowany 1.VII 87):

„List Pański z dn. 14/6 odebrałem w Paryżu i rozmawiałem wiele z Hertlem o Lidze, otóż jak się zdaje powoli ale pewnym krokiem organizacja w Galicji postępuje, w Krakowie także jest zawiązek zrobiony, obecnie rozpoczynają działalność w Poznańskiem i zarazem w Kongresówce. Ze względów bezpieczeństwa osobistego, życzono by sobie abyśmy t. j. Pan, Hertel i ja przyjęli na siebie przewodnictwo w robotach... Ja się zgodziłem, Hertel także, oczekujemy Pańskiej decyzji. Tak mi się zdaje cały ruch jest czysto demokratyczny i został wywołany Pańską broszurą"...

Jeż propozycję przyjął. Naskutek tego pisał do niego Michalski z Hilfikonu pod datą 9 lipca:

„Zawiadomiłem Hertla o Pańskim zgodzeniu się i odbieram od niego wiadomości, że Hirszberg został delegowany przez oba komitety galicyjskie dla zbadania stanowiska i składu L. P. zagranicą resp. w Paryżu. Otóż Hertel zaproponował aby zamiast w Paryżu zjazd był u mnie i w tym sensie napisał do Lwowa, gdy go zawiadomią kiedy Hirszberg przyjedzie, on zjedzie także do mnie, upraszamy więc Sz. Pana, abyś zechciał także do mnie na ów czas przybyć, gdy tylko odbiorę wiadomości kiedy Hirszberg przyjeżdża, zawiadomię Sz. Pana telegrafem"...

Z Aarau wysłał Michalski do Jeża list z datą 30.VII 87 tej treści:

„Odjeżdżając z Genewy, otrzymałem list od Hertla, że Hirszberg przybył do Paryża, w początku sierpnia t. j. 2 lub 3 mają wyjeżdżać do nas, t. j. do Hilfikonu i pisałem Hertl. aby Sz. Pana dzień przed ich odjazdem telegramem zawiadomił, kiedy przybędą do mnie i Sz. Pan zechce także przybyć"...

Hilfikon był to zamek w okolicach Zurichu, około Badenu i Aarau. Nabył go Michalski i tam mieszkał z rodziną. Udał się Jeż do Hilfikonu w pierwszych dniach sierpnia 1887 r. zgodnie z podanym powyżej zaproszeniem Michalskiego. Jak pisze Jeż w pamiętniku, na stacji w Wohlen czekali Michalski i Hirszberg, w ich towarzystwie udał się pojazdem do Hilfikonu.

„Zamek — pisze Jeż— wznosi się na wzgórzu, u stóp którego płynie rzeczółka, wpadająca do upamiętnionej przez Słowackiego w poemacie: „W Szwajcarii" Aary. Niegdyś musiał być obronnym i służyć w domowych między kantonami wojnach, w których się lubowali praojcowie Szwajcarów nowoczesnych. Dziś znikły mury, blanki, baszty: miejsce ich na pochyłości wzgórza zajął trawnik rozległy służący za ramy dla grządki kwietnej, złożonej z kwiecia czerwonego i białego. Czerwone kwiecie służyło za tło dla orła, utkanego z kwiecia białego. Miły też dla oka polskiego przy wjeździe do zamku widok dobrze o guście i uczuciach patriotycznych gospodarza świadczył"...

Było (w Hilfikonie) osób cztery. Z nich tylko Hirszberg mógł się uważać za delegata.

„Wydelegowało go kółko zorganizowane, pozostające w stosunkach z kółkiem warszawskim". Prócz tego byli: Jeż, Michalski i M. H. (Hertel) z Paryża. „Za nami... było upoważnienie moralne, pozwalające — a raczej nakazujące nam stanąć na czele organizacji, szykującej się w Polsce pod naciskiem opinii publicznej".

„Delegat kółka z zaboru austriackiego oznajmił nam to, jako domaganie się polskiej demokracji patriotycznej, zrażonej do „zgodą z losem" przejętej działalności „pracy organicznej", oburzonej na kwitujący z Polski socjalizm".

„Dla mnie oświadczenie delegata o domaganiu się miało znaczenie wezwania... Sumienie nam cofać się nie pozwalało. Michalski więc M. H. (Hertel — przypisek S. K.) i ja stanęliśmy, pod zaproponowaną nie pomnę przez kogo nazwą Centralizacji, na czele organizacji politycznej niesformowanej i nie nazwanej. Koledzy przyjęli nazwę nadaną jej przezemnie: Liga Polska"...

Postanowiono założyć pismo i powierzyć redakcję Jeżowi.

„Pobyt w Hilfikonie Centralizacji Ligi Polskiej trwał, o ile przypominam sobie, trzy dni"...

„Mnie się redagowanie pisma dostało, Michalski... wziął na siebie wydatkowanie na koszty instytucji organizacyjne i wydawnicze. M. H. w Paryżu z drukarzem rachunki prowadził i spółrodakom... informacyj udzielał"...

Tak powstała Centralizacja Ligi Polskiej. Do tych wydarzeń odnosi się wiadomość zawarta w cytowanym na początku „Protokóle". Słusznie tedy można uważać sierpniowy zjazd w Hilfikonie za datę formalnego założenia organizacji Ligi Polskiej.

STANISŁAW KOZICKI

Z BIEGIEM LAT

(WSPOMNIENIE O ROMANIE DMOWSKIM)

II

MANIFEST koronacyjny Mikołaja II skrócił nam (uczestnikom manifestacji 17 kwietnia 1894 r.) czas wygnania o połowę. W początkach 1896 roku powróciłem do Warszawy, gdzie zawieszona i rozstrojona przez dłuższy czas działalność sfer narodowych, zaczęła się znowu ożywiać. Legalnie skupiliśmy się dokoła „Głosu" wznowionego w nieco odmiennej postaci przez Z. Wasilewskiego. (Przyłączyło się wówczas do nas, dawniejszych współpracowników, kilku nowych: Bolesław Koskowski, J. Stecki, St. Karpiński, L. Włodek). Tajne organizacje („Zet" i „Liga Narodowa"), wzmocnione dopływem nowych sił, nabrały szerszego rozmachu. Dochodził już do nas „Przegląd Wszechpolski", założony przez Dmowskiego, organizowały się jego transporty, odbywały się zjazdy. Właśnie w lecie 1896 r., został zwołany zjazd „Rady Głównej" L. N., celem dokonania wyboru władz centralnych etc. Na miejsce zjazdu obrano Budapeszt — w którym odbywała się wystawa z okazji 1000-lecia Węgier — dla zatarcia powodów zebrania. Do Pesztu wyruszyłem z Zakopanego w towarzystwie: J. Popławskiego, Karola Raczkowskiego i Teofila Waligórskiego; zastaliśmy już tam między innymi Z. Balickiego, Dr. Męczkowskiego i Dmowskiego, który przybył o parę dni wcześniej na spotkanie matki swojej, powracającej z pielgrzymki do Rzymu. Powitał nas tak prosto, jakbyśmy się wcale z nim nie rozstawali, znać jednak było, iż rad jest z naszego przybycia.

Obrady „R. G." rozpoczęły się wśród dość zabawnych okoliczności. Pilotował nas po Peszcie Z. Balicki (znał miasto przedtem, gdyż po ucieczce z Galicji tułał się jakiś czas na Węgrzech), który zaprowadził zebranych do znanej sobie ludowej winiarni na „Starej Budzie". Ledwieśmy zasiedli w niej i rozpoczęli dyskusję — aż tu zjawia się, jakby wyrosły z ziemi, policjant i zaczyna nam się uważnie przyglądać i nasłuchiwać. Sytuacja stawała się dość niepokojąca, udało się wszakże rozproszyć podejrzenia policjanta, gdy Roman z całą komiczną powagą zaczął go wypytywać w jakich godzinach należy zwiedzać Burg...?

Dwudniowe obrady zakończyliśmy na wyspie św. Małgorzaty, gdzie został wybrany Komitet Centralny L. N. w następującym składzie: Jan Popławski, R. Dmowski, Z. Balicki, Karol Raczkowski i Teofil Waligórski. Roman był b. zadowolony z wyniku tych wyborów i wiele sobie obiecywał po nich.

W istocie — nie omylił się. Komitet Centralny L. N. w powyższym składzie — z nieznacznemi później zmianami — funkcjonował w ciągu jedenastu lat, a jego wytężonej działalności, przy wzajemnem zaufaniu jego członków, przypisać należy niezwykłe wzmożenie ruchu narodowego we wszystkich zaborach, wskutek powołania do życia wielu organizacyj (Stronnictwo Dem.-Narodowe, Tow. Oświaty Narodowej, Narodowy Związek Robotniczy), które rozgałęzieniami swojemi sięgnęły głęboko w różne sfery naszego społeczeństwa, pobudzając je i zrzeszając do pracy narodowej oraz podnosząc ich uświadomienie polityczne.

W ciągu paru pierwszych lat (1896, 1897) wspólnego redagowania z Popławskim we Lwowie „Przeglądu Wszechpolskiego", zjawiał się od czasu do czasu Dmowski „nielegalnie" w Warszawie dla załatwienia różnych spraw organizacyjnych, a także i dla zasilenia kasy „Przeglądu". (W tym celu zwracał się między innemi do tego rodzaju wybitnych osobistości jak Al. Świętochowski, który przyrzekał mu swoje poparcie). Odwiedzanie przez niego Warszawy odbywało się dość brawurowo, gdyż nie tylko naznaczał nam spotkania w mieszkaniach prywatnych, lecz zachodził często na pogawędkę do kawiarni, gdzie w oznaczonych godzinach spodziewał się zastać członków red. „Głosu". Ciągnęło go coś do tych rozmaitych kątów warszawskich, z któremi był się pożegnał nie wiadomo na jak długo, zarówno jak i do ludzi, z którymi zżył się od dawna, i którzy go witali zawsze ze szczerą radością.

Nagawędził się, nażartował, naopowiadał mnóstwo wesołych anegdot, co później obiegały kółka znajomych, i tak nagle znikał nam z oczu, jak do nas przybywał. W tych czasach, swej „emisarskiej" — że się tak wyrażę — służby, promieniał nieustanną młodością (a miał już zgórą 30-ci lat), nie znać było na nim najmniejszego zniechęcenia wobec napotykanych trudności, kpił z wszelkich przeszkód, sam wierzył niezachwianie w skuteczność własnych wysiłków i umiał wątpiących w tej wierze utwierdzać.

„Nielegalne" wizyty Romana w Warszawie prawie ustały następnie (w latach: 1898, 1899 i 1900) z racji jego dalszych podróży, przedsiębranych kilkakrotnie do Anglii, a stąd do Brazylii. Kwestionowano nieraz, nawet w kole najbliższych, celowość tych jego wędrówek po szerokim świecie, wskutek których cały ciężar redagowania „Przeglądu" spadał na Popławskiego, nie mówiąc już o tem, że i sprawy organizacyjne w Stronnictwie oraz Lidze mogły na tem cierpieć.

Zarzucano mu nawet, iż prędko uprzykrza sobie jakąś jedną, dłużej trwającą pracę i rwie się do innej, że się prędko ostudza do tego, co sam wszczął w porywie zapału. Mogło się tak nieraz zdawać, tymczasem te dłuższe przerwy, na jakie sobie pozwalał, nie były wcale wyrazem znużenia, bądź ostudzenia zapału, lecz przeciwnie, były planowem przedsięwzięciem, mającem na celu zwiększenie własnej wiedzy, uzupełnienie braków własnej znajomości spraw i stosunków w świecie, bez czego nie wyobrażał sobie działania politycznego na szeroką skalę. Roman świadomie przygotowywał siebie do roli tej wysokiej miary męża stanu, jakim się później okazał, jakby przeczuwając, iż ona w przyszłości mu przypadnie.

A gdy po swoich wycieczkach zagranicznych stawał przed „Radą Główną" L. N. i referował nam o sytuacji politycznej w całym świecie oraz wyciągał stąd wskazania dla naszej działalności w kraju, to już w jego sposobie myślenia, w dojrzałości poglądów, przenikliwości spojrzenia i doskonale udo-

kumentowanej argumentacji — czuć było nie polityka swojskiego chowu (jacy mu nieraz się przeciwstawiali), lecz w istocie męża stanu, w którym świadomość celu, do jakiego konsekwentnie dąży, łączyła się z wielkiem poczuciem odpowiedzialności za to, co czyni i innym czynić zaleca. Na jakiemś pozjazdowem zebraniu u pp. Balickich, wypowiedziałem mu swoje uwagi w tej mierze, i że dużo się nauczyłem słuchając jego wykładu. Ogromnie się ucieszył i zaraz dodał: „a cóż ty myślisz, że ma być tak u nas, jak podczas galicyjskich obchodów rocznic narodowych, z których ludzie wychodzą z pokrzepionem sercem, ale z pustką w głowie..."

Mając takich kierowników, jak Popławski, Dmowski i Balicki — wznosiła się i cała nasza organizacja na wyższy poziom dojrzałości politycznej oraz rozumienia interesu narodowego.

Wielkie wypadki, jakich po przegranej wojnie z Japonią, stało się imperum Rosyjskie, wytworzyły w Królestwie, dzięki skrajnym żywiołom prącym do rewolucji społecznej w zależności od rewolucji rosyjskiej, tak groźną sytuację, że z niej mogły spaść na Polskę same tylko klęski, nie ziszczając w najmniejszym stopniu rozbudzanych w masach nadziei poprawy bytu.

Z anarchią rewolucyjną trzeba było rozpocząć walkę i, jak się okazało, tylko Stronnictwo D.-narodowe z jego organizacjami, mogło się na nią odważyć. Skoro tylko Dmowski przybył w 1905 roku do Warszawy, niezwłocznie stanął na czele Stronnictwa i pokierował akcją przeciwrewolucyjną. Był to burzliwy okres w jego życiu, w którym ujawnił niezwykłą energię, odwagę cywilną — a i fizyczną — oraz stanowczość działania. Na walkę bratobójczą, wywołaną przez socjalistów, mordujących bezkarnie robotników — narodowców, trzeba było, niestety, odpowiedzieć taką samą bronią, co natychmiast poskutkowało: robotnicy - narodowcy przestali padać ofiarą, opanowanych krwawym szałem rewolucji, socjalistów wszelkiego stempla.

W atmosferze, wypełnionej wyziewami rewolucyjnemi, wśród ogólnego podniecenia i zamętu ideowego, nieraz i wśród naszych szeregów można było spotkać się z defetyzmem oraz z niezrozumieniem wymagań chwili.

Dmowski czuwał na wszystkich zagrożonych punktach, tępił we własnym obozie małoduszność, i nie dopuszczał, by wola jego została zachwiana w chwilach stanowczych. Doprowadzało to czasami do przykrych zatargów wewnątrz stronnictwa. Wspominam tu o jednym z takich konfliktów, którego skutki odbiły się i na późniejszych jego stosunkach z ludźmi.

Lewica rewolucyjna urządziła strajk protestacyjny na jakieś drakońskie zarządzenie władz rosyjskich i usiłowała do niego przyłączyć całą prasę. Na naradzie jej przedstawicieli był z naszego ramienia redaktor świeżo nabytego „Gońca", Bolesław Koskowski, który przyłączył się do uchwały strejkowania. Strajki prasowe w czasach rewolucyjnych były uznawane nawet przez socjalistów, jak Daszyński np., za nonsens, ale nam jeszcze o co innego tu chodziło, gdyż przyłączenie się prasy narodowej do strajku oznaczało kapitulację przed anarchią i wywrotem. Na tem tle nastąpiło starcie pomiędzy Dmowskim, który nakazał wyjście „Gońca", a redaktorem niechcącym się na to zgodzić, wskutek czego musiał ustąpić ze stanowiska.

B. Koskowski nie miał temperamentu bojowego, lubił pracę w warunkach spokojnych — i dla tego uległ uchwale prasowej, z zatargu jednak stąd wynikłego wyniósł urazę do Dmowskiego i żywił ją bardzo długo. Dmowski, przeciwnie, prędko zapomniał o całem zajściu i w okresie „Dumy" obdarzał Koskowskiego, jako korespondenta „Kuriera Warszawskiego", zupełnem zaufaniem i częściej się z nim porozumiewał, niż z korespondentem własnego pisma, słowem puścił wszystko w niepamięć. Koskowski jednakże nie dał za wygraną i w kilka lat potem, gdy Dmowski kandydował do 4-ej „Dumy", ostro wystąpił przeciw niemu i zwalczał w „K. W." jego kandydaturę.

Zatarg ten nie jednego z nas b. zabolał, gdyż B. Koskowski był przez nas lubiany, należał do starych kolegów z którym żyliśmy w przyjaźni.

Przeszła nawałnica rosyjska, weszliśmy w okres pseudo - konstytucyjny, rozpoczęły się wybory, działalność parlamentarna etc... Upłynęło na tem parę lat. W marcu 1908 roku dotknął nas wszystkich bolesny cios — wskutek śmierci Jana Popławskiego. Noc z 14-go na 15-go marca spędził Dmowski ze mną, z Dr. Z. Paderewskim i Dr. J. Załuską u łoża umierającego przyjaciela i jedynego człowieka wśród swoich współczesnych, którego myśli, jak to niejednokrotnie wyznawał w mowie i piśmie, (p. „Polityka polska") zawdzięczał główne wytyczne własnego myślenia politycznego. Do nie jednego z przyjaciół i towarzyszy pracy był Roman szczerze przywiązany i z żalem wspominał ich po zgonie (Dr. A. Troczewskiego, M. Bojanowskiego, Wł. Grabskiego z Kurcewa, W. Jarońskiego i w. innych), w sercu wszakże jego pierwsze miejsce miał zawsze Popławski, a lata wspólnej z nim pracy narodowej zaliczał do najpiękniejszych w swojem życiu.

Tu muszę dotknąć sprawy — przejścia „wielkiej buławy" w ręce Dmowskiego, po zgonie Popławskiego. Jest to czysta „literatura", gdyż jeśli mowa o tem, kto najwięcej posiadał władzy (w „L. N." i D. N.), to tym był Dmowski i za życia Popławskiego, nie mówiąc już o tem, że w opinii ogółu przyjaciół wszyscy trzej twórcy ruchu narodowego, byli godni tej „w. buławy", tylko jakoś tak się składało, że spoczywała ona przede wszystkiem w prawicy Dmowskiego.

W kilka miesięcy po zgonie Popławskiego, w okresie przerwy w pracach „Dumy", przybył Dmowski do Warszawy i wkrótce zwołał Radę Naczelną stronnictwa, by zdać nam sprawę z czynności parlamentarnej polskiego „Koła".

Było to jedno z przykrzejszych zebrań naszych, gdyż na niem wystąpił Dmowski z gwałtownemi zarzutami przeciw dwom zwłaszcza kolegom z „Koła", oskarżając ich o ciągłe bruździenie oraz nielojalne postępowanie względem niego jako prezesa. Mogło w tem być wiele słuszności, ale atak był dokonany w tak niezwykłem podnieceniu, z taką pasją, że Romana w takim stanie psychicznego wzburzenia jeszcześmy nigdy nie oglądali. Uspokajaliśmy go, nic to jednak nie pomogło, domagał się surowych sankcyj na owych posłów i wszystko postawił na ostrzu noża, dając do zrozumienia, że on w tej atmosferze, jaka w „Kole" się wytworzyła, pozostawać dalej nie

może. W tem jego wystąpieniu odczuwało się osobiste znużenie pobytem w „Dumie", ale w większym jeszcze stopniu gorycz, wywołaną niezrozumieniem przez wielu kolegów jego polityki oraz taktyki z nią związanej. (O tem wspomina również w „Polityce polskiej i odbudowie państwa"). Przeczuwaliśmy, iż to doprowadzi do kryzysu w „Kole", — jakoż wkrótce on nastąpił, gdyż Roman złożył mandat posła Warszawy.

Widocznie spadł mu nieznośny ciężar z duszy, prędko bowiem odzyskał jej pogodę, a dobry humor go nie opuszczał. Objawy jego b. zabawnie nie raz wyglądały. Pamiętam taką np. scenę: świeżo po złożeniu mandatu wychodziliśmy z Hotelu Europejskiego, gdy natknął się na nas jeden z byłych posłów do 1-szej „Dumy" i z głupkowatem współczuciem w głosie zapytał Romana: „a co pan prezes teraz będzie robił?" Zapytany tak znienacka natychmiast mu odparł: „cóż mam robić — zacznę służyć w tramwajach!..." Niefortunny interpelant już więcej nie pytał.

Elektorzy (wybory były dwustopniowe) mieli się zebrać za kilka miesięcy dla wyboru nowego posła ze stolicy. Amatorów w ciele elektorskim trudno było znaleźć. Proponowano paru „honoratiorom" ze starszego pokolenia (adwokatowi Pepłowskiemu, historykowi Wł. Smoleńskiemu), którzy wręcz odmówili, zatrzymano się więc na mojej kandydaturze. Nie odpowiadało to wcale moim stosunkom rodzinnym, ani zajęciom fachowym, a także i zdrowiu, gdy wszakże Z. Balicki i Dmowski przyszli do mnie i przemówili w imię starej przyjaźni oraz obowiązku — nie mogłem się nie zgodzić i wybór przyjąłem.

Roman nie tracił z oczu stosunków w „Kole" poselskim, a gdy przyjeżdżał do Petersburga dla innych spraw często z nami się widywał i konferował. Mojem stanowiskiem w „Dumie" stale się interesował i nieraz, jakby chcąc mi dać zadośćuczynienie za to, iż skazany zostałem przez niego na przeżycie w zawodzie poselskim nie jednej ciężkiej chwili, starał się mi je osładzać.

W drugim roku mego posłowania otrzymałem od niego list (Warszawa, 5 listopada 1910 r.), świadczący między innemi o wyżej powiedzianem: „Mój drogi Władku, Odpisuję Ci dopiero na trzeci dzień po otrzymaniu Twego listu, gdyż chciałem przedtem stenogram Twej mowy dostać, żeby jej móc Ci sumiennie powinszować. Nie chciałbym Ci winszować zdawkowym frazesem. Otóż dziś przeczytałem ją bardzo pilnie dwa razy. I z całego serca winszuję Ci zarówno wielu myśli w niej wypowiedzianych, jak formy wybornej. Dotychczas wogóle mowy nasze, a między innemi i moje, w tak dobrej formie literackiej nie były opracowywane. Jest ona bardzo ostra, ale to mojem zdaniem w momencie obecnym szkodzić nie może. Natomiast, jako stary lis polityczny, powiedziałbym, że pod pewnym względem jest nie tak mocną, jak powinna być mowa ostra w tonie, protestująca... Mianowicie za wiele w niej jest irytacji, a za mało spokoju i traktowania przeciwnika zgóry. Moskale lubią widzieć przeciwnika zirytowanego, bo są z natury złośliwi. Natomiast do pasji doprowadza ich pogardliwy spokój... Te drobne uwagi przyjacielskie, nie przeszkadzają mi cieszyć się bardzo, żeś tę mowę wypowiedział i oburzeniu naszego ogółu na politykę szkolną dał wyraz poważny etc, etc..."

Nie zawsze jednak Roman traktował „przeciwnika zgóry" bez irytacji, jego bowiem słynna mowa t. zw. „azjatycka" („azjackaja riecz gospodina Dmowskawo"), jak nam krzyczano nieraz z prawicy, gdyśmy rozpoczynali swe mowy), jak to sam przyznawał szwankowała pod tym względem.

I znowu upłynęło parę lat, i oto Roman, tak zrażony do polityki w Petersburgu, nagle oświadczył nam, gdy nadeszły wybory do 4-ej „Dumy", że zamierza kandydować z Warszawy. Wszyscy przewidywaliśmy tym razem niechybną jego klęskę wyborczą, gdyż mieliśmy już przeciw sobie— a zwłaszcza przeciwko niemu — wszystkie „postępowe" grupy, różne własne „secesje", i w ogóle mało przychylny nastrój bezpartyjnych w stolicy. Jakoś przed wyborami bawiłem z Romanem u wspólnych przyjaciół, Kiniorskich, w Suchodębiu. Ilu nas tam było — wszyscyśmy błagali go wprost, żeby się zrzekł zamiaru kandydowania; nic nie pomogły nasze prośby i perswazje, uparł się — i doznał porażki. Otrząsnął się jak zwykle z niej prędko, gdyż pochłaniały go już sprawy (może dla nich pragnął znaleźć się w „Dumie"), które przewidywał, co miały niebawem wstrząsnąć całym światem.

Na zjazdach Rady Głównej L. N. (1912 r. we Lwowie, 1913 w Berlinie) głównym przedmiotem dyskusji była sprawa — jakie mamy zająć stanowisko na wypadek zbrojnego starcia Niemiec z Francją i Rosją? Na tych zjazdach Roman ostrzegał przed łączeniem losów Polski z Austrią i Niemcami. W kwietniu 1914 r. odbyliśmy zjazd przedstawicieli L. N. w Wiedniu, i tu już stanowczo orzekł, że gdy wojna wybuchnie, Polska musi stanąć przeciwko Niemcom, gdyż tylko w razie ich klęski może być mowa o naszej niepodległości i zjednoczeniu. Stanowisko takie, podzielone przez większość, wywołało tylko ze strony paru przedstawicieli z Galicji pewne zastrzeżenia.

Horyzont świata zasnuwał się co raz bardziej groźnemi chmurami. W połowie maja byłem z Romanem na wieczorze u Sienkiewicza [1]). Mówiliśmy dużo o przewidywanych wypadkach; Sienkiewicz podzielał stanowisko Romana, bolał nad dezorientacją społeczeństwa i mówił nam, że na wypadek wojny jego sytuacja może być bardzo trudną, przytem oświadczył, że wkrótce wyjeżdża do Krakowa.

Rozstaliśmy się z Sienkiewiczem w dość ponurym nastroju, jednak nie bez nadziei lepszej przyszłości.

W kilka tygodni potem spadł pierwszy piorun, zwiastun nadciągającej burzy, z chmurnego nieba (zamach w Serajewie). Wyjechałem na kurację do Montecatini, Roman zaś do Szwajcarii, gdzie miał zabawić jakiś czas u I. Paderewskiego.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

---

[1]) Jak Sienkiewiczowi chodziło o Romana, przytaczam tu jego list do mnie w tej mierze: „Szanowny i Kochany panie Władysławie. Czy mogę pana prosić na zwykłą pogawędkę jutro, w sobotę o godz. ósmej wieczorem. Będzie tylko Święcicki (Julian Adolf) i Dmowski. Z Święcickim już się porozumiałem. Do Dmowskiego żona moja telefonowała do mieszkania, do „Gazety Warszawskiej" i „Porannej" bezskutecznie, mam jednak nadzieję, że go gdzieś przyłapiemy. W razie gdyby który z panów nie mógł przyjść, odłożę sprawę do przyszłego tygodnia i nieomieszkam pana o tem zawiadomić..."

NA WIDOWNI

O stosunku do przyrody. — Dzieło Jana Gwalberta Pawlikowskiego. — Przez kulturę do przyrody.—Walka z „ceprami". — Ochrona przyrody i luna-park. — Pawlikowskiego teoria stylu. — Jan Gwalbert i Jan Jakub.

NASZ nowoczesny sposób myślenia o świecie i o naszym do niego stosunku stał się nacjonalistycznym. Jest to rezultat długotrwałej kultury, która doprowadziła ludzi do jasnego uświadomienia, że człowiek przystawiony jest do świata nie samotniczo, lecz przez naród, który go wciągnął we współżycie ze światem obrotami swej cywilizacji.

Najtrudniejsze do uświadomienia są stosunki najprostsze. Do takich należy nasz stosunek do przyrody. U ludzi wrośniętych w ziemię, mających z nią stale i bezpośrednio do czynienia, stosunek psychiczny do ziemi oparty jest na instynkcie, w sferze wyższej kultury wyrastają na tem ogólnem podłożu instynktów motywy uczuciowe, patriotyczne, polityczne lub całkiem bezinteresowne uczucie natury estetycznej, znajdujące wyraz w poezji i w sztuce wogóle. Ludzie najwyżej w kulturze duchowej posunięci do tych wszystkich motywów dołączają stosunek swój do ziemi filozoficzny, który się staje syntezą tamtych wszystkich potrzeb duchowych.

Dzisiejszy nacjonalistyczny kąt patrzenia na świat chroni filozofów przyrody od błędów takich, jakie popełniał skrajny romantyzm, głoszący powrót jednostki do stanu natury. Przeciwnie, stają się oni pionierami nowoczesnej cywilizacji narodowej, budowanej na podstawach rodzimości, głęboko w ziemię zapuszczonych.

Do takich myślicieli należy Jan Gwalbert Pawlikowski, autor znakomitego traktatu „Kultura a natura".

Rozprawa ta weszła obecnie do świeżo wydanego dzieła [1]), jako jeden z rozdziałów. O dziele tem daliśmy już wiadomość w nr. 2 „Myśli Narodowej" tego roku, przedrukowując dodaną do niego przedmowę wydawców. Należy się jednak czytelnikom bliższa o tej książce informacja.

Pawlikowski swoje obserwatorium filozoficzne ma w Tatrach, tam gdzie już wcześniej wili swoje gniazda poeci polscy, chcąc uzyskać orli na świat widok. Dla Pawlikowskiego Tatry są jakby ołtarzem piękna wolnej przyrody. Osadziwszy się tam, odpiera ataki „ceprów", usiłujących góry opanować i zeszkaradzić. Panuje on w Tatrach jako ich władca moralny i walczy o życie przyrody z potencjami wszelkich „ceprów" — w imię kultury, jako ten, który znalazł związek między naturą i kulturą.

Prace Pawlikowskiego wyjaśniają, o co walczy: „O lice ziemi". Taki jest tytuł księgi. Ułożył ją na żądanie towarzyszy kombatantów, którzy z nim dzielili pracę w Państwowej Radzie Ochrony Przyrody. Oni to sprawili, że dzieło wydane zostało nakładem Rady w hołdzie dla jej twórcy.

[1]) „O lice ziemi". Wybór pism J. Gw. Pawlikowskiego. Warszawa 1938. Wyd. Państw. Rady Ochrony Przyrody. Skł. gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. XVI + 399. Port. Ilustr.

Zanim książka się ukazała, Rada w tym składzie przestała istnieć. Ustąpił z niej wydział cały wraz z Pawlikowskim z powodu kolizji z władzami w sprawie kolejki górskiej — i wogóle...

Redaktorzy księgi prof. Wł. Szafer i A. Wodziczko, jak już wiemy, w przedmowie złożyli hołd Pawlikowskiemu, jako „duchowemu ojcu ruchu ochrony przyrody w Polsce". Materiał, do księgi ofiarowany, Pawlikowski rozłożył na cztery części. W pierwszej znajdujemy znakomitą rozprawę (z r. 1913) „Kultura a natura". W cz. II mamy cztery rozprawy, dotyczące podstawowych zagadnień ochrony przyrody; w III — sześć rozpraw o ochronie przyrody górskiej; w IV — sześć rozpraw o stylu zakopiańskim.

— — — — — — — — — — — — — — —

Jakże się to stało, że przedstawiciel najwyższych regionów kultury wziął na się rolę ducha opiekuńczego wolnej przyrody? Toż to przeciwieństwa! A Pawlikowski na to powiada:

„Przesądny jest ten, kto mniema, że wyminie przeciwieństwa. One leżą w istocie bytu, a ten jest jeden. Człowiek w najwyższej kulturze ducha będący nie przestaje być reprezentantem przyrody. Musi z nią współżyć przyjaźnie. Prostactwo walczy z nią jak z wrogiem, ale kto przebędzie cały świat kultury duchowej, ten u jej drugiego bieguna spotyka się znów z naturą w całej prostocie ducha, jako jej czciciel".

Walka człowieka z przyrodą ma w oczach Pawlikowskiego pierwiastek dramatyczny. „Człowiek — czytamy w rozprawie „Kultura i natura" — odkąd pojawił się na ziemi, począł *ujarzmiać* przyrodę. Aż wreszcie ujarzmił ją tak gruntownie, że poczynają mu włosy stawać z przerażenia, aby w pustce przestrzeni nie został sam na sam — z trupem"!

Powiedział te słowa człowiek, który sam — jako profesor ekonomiki rolniczej w Dublanach — uczył przyrodę ujarzmiać, aby z niej ciągnąć pożytki. Byłaby to sprzeczność, gdyby nie szedł z rozejmem trzeci w tejże osobie człowiek — Pawlikowski-poeta.

Dzieło Pawlikowskiego „O lice ziemi" ma wszelkie pozory książki przyrodniczej, a jednak jest to dzieło humanistyczne. Autor walczy o dobro człowieka, pełnię jego rozwoju kulturalnego.

Człowiek — według Pawlikowskiego — powraca do przyrody przez jej *poznanie* naukowe. Powraca tam, skąd sam pochodzi, pragnie odzyskać to, co utracił. „A jeśli sam odbił się od macierzy za daleko, przyprowadza jej przynajmniej na powrót swe dzieci". Sprawia to wykształcenie przyrodnicze człowieka kulturalnego.

Pawlikowski nie tylko siebie odnajduje w przyrodzie. Również przedmiotowo widzi on człowieka w tle przyrody jako jej własność. Człowieka pierwotnego Pawlikowski zalicza do zjawisk, nie wydzielonych jeszcze z przyrody. Stąd jego nauka o stylu i o sztuce w ogóle.

Tkwi w tem wielkie zagadnienie bytu, że to, co jest zjawiskiem przyrodzonem u ludu: owa łączność z przyrodą przez instynkt i obyczaj, powtarza się w człowieku kulturalnym jako powrotne dążenie do przyrody przez tęsknotę.

Jest to działanie zmysłu estetycznego. Lud wiąże się tym zmysłem bezwiednie z przyrodą

i ustanawia w swojej pierwotnej sztuce pewien obyczaj, który daje podstawę stylowi.

Styl — to obyczaj; to obyczajowa forma sztuki. Jest on zjawiskiem społecznym. Badanie jego istoty należy nie tyle do historyka, ile do socjologa.

Obyczaj ten jest tradycją i formą, jest węzłem, łączącym ze sobą członków pewnej grupy ludzkiej i węzłem, łączącym pokolenia żyjące z umarłemi. Pod jego wpływem gromada staje się ze zbiorowiska organizmem, nabywa cechy psychiczne organizmu — pamięć, charakter.

Obyczajowa forma sztuki jest najlepszą rękojmią wartości artystycznej wytworu. Ta stylowa norma obyczajowa jest dla artysty gotowym szkicem. Styl harmonizuje wytwory sztuki indywidualne, nadaje danej grupie oblicze, które jest właśnie kulturą tej grupy. Wybitna indywidualność — to w gruncie rzeczy jednostka, ogniskująca w sobie w szczególnie szczęśliwy sposób charakterystyczne cechy gatunku, który je wydał, to człowiek rasowy. To znaczy — człowiek stylowy. W ten sposób twórczość stylowa wydaje na świat indywidualnych twórców.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Wspaniała teoria kultury i stylu, którą w krótkości przedstawiłem, daje Pawlikowskiemu podstawę do całego systemu socjologii sztuki, a z drugiej strony uzasadnia potrzebę ratowania zabytków przyrody (nie tylko górskiej).

Systemu ochrony przyrody, któremu wiele rozdziałów księgi Pawlikowski poświęcił, nie poruszam. Domaga się on oceny specjalnej. Wskazałem jedynie główną linię myśli filozoficznej Pawlikowskiego. Ten zasadniczy jego pogląd na stanowisko człowieka między przyrodą a kulturą stawia Pawlikowskiego w rzędzie najwybitniejszych przedstawicieli polskiej myśli filozoficznej.

Synteza, której dokonał Jan Gwalbert Pawlikowski, przezwyciężyła pogląd Jana Jakuba Rousseau'a na potrzebę ucieczki od kultury na łono natury, a z drugiej strony kładzie podwalinę pod nacjonalistyczny pogląd na twórczość, jako na wykwit stylu, który jest dziełem zbiorowem tradycyjnego obyczaju.

Ugoda, jaką Pawlikowski zawarł między kulturą a naturą, zdejmuje z wieku XIX klątwę kultury jako grzechu, kultura bowiem według niego jest koniecznością. Nie spodziewał się jednak, że ta ugoda tak rychło będzie zerwana przez uroszczenia „ceprów" do rezerwatów przyrody. Kolejka górska na Kasprowy Wierch zadrwiła z jego ideałów kultury.

Pawlikowski ustąpił z Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Pozostało jednak dzieło jego myśli, szczytniejszej od wynalazków techniki, myśli humanistycznej, przynoszącej zaszczyt i jemu i towarzyszom jego pracy — i epoce.

W Tatrach uwiła swe gniazdo nie tylko poezja polska ale i filozofia. Stosunek naszego Jana Gwalberta do owego Jana Jakuba jest wyrazem tej proporcji, jaka zachodzi między najwyższemi poziomami naszej nacjonalistycznej epoki i czasów liberalnego romantyzmu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

KATOLICYZM I ANTYSEMITYZM

Życzyć by należało, ażeby nowa książka ks. dra A. Trzeciaka — „Talmud o gojach a kwestia żydowska" — znalazła jak najwięcej czytelników (aryjskich — bo żydzi napewno już ją czytają). Jak najwięcej i wszelkich przekonań. Zwłaszcza zaś przekonań chwiejnych wobec zagadnienia żydowskiego, doradzających „dla dobra sprawy" umiarkowanie, „chrześcijańską" względność i „polską" tolerancyjność.

Autor zresztą pragnie tego samego. Chce być szeroko czytany. Z głębi przekonania wzywa społeczeństwo — młodzież przede wszystkiem — do poważnych i gruntownych studiów nad sprawą żydowską. „Poznaj duszę żydowską— pisze we wstępie — z jej normą działania, z jej pobudkami w postępowaniu, z jej sposobem myślenia w stosunku do całego otoczenia". Reflektorem zdolnym prześwietlić najtajniejsze skrytki psychiki żydowskiej jest, zdaniem ks. Trzeciaka, znajomość Talmudu, jako źródła etyki żydowskiej. Temu zadaniu — zaznajomieniu czytelników polskich z nauką Talmudu służy w pierwszym rzędzie dzieło ks. Trzeciaka. Naświetla ono poza tem całokształt sprawy żydowskiej z różnych punktów widzenia i w tym znaczeniu uchodzić może za wszechstronną encyklopedię wiedzy żydoznawczej.

Szczególnie dużo miejsca poświęca ks. Trzeciak ocenie zagadnienia żydowskiego z chrześcijańskiego, katolickiego stanowiska. Konkluzje jego idą w kierunku wręcz przeciwnym do twierdzeń różnych t. zw. „katolickich pisarzy" (z nieprawdziwego zdarzenia), którzy dając folgę swym „wiernopoddańczym" normom prosemickim, starają się udowodnić, że antysemityzm nie da się pogodzić z chrześcijaństwem, że trzeba wybierać między jednem i drugiem, gdyż dzieli je jakoby zasadnicza sprzeczność. Tak utrzymuje m. in. p. M. Winowska, którą znamy z „Verbum", z „Kultury" poznańskiej, z „Pionu" warszawskiego i in. Otóż ksiądz Trzeciak, b. profesor Akademii Duchownej Rz.-Kat. w Petersburgu, jest innego zdania.

Wartoby ustalić definicję „pisarza katolickiego", bo okazuje się, że może nim być jakoby Hertzog-Maurois, może nim być Mauriac, który wyspecjalizował się w rozgrzeszaniu bolszewików hiszpańskich z ich „ideowych" okrucieństw, może nim być „czerwony hrabia" Pruszyński i ta sama p. Winowska, a podobno z trudem może być za takiego uznany właśnie ks. Trzeciak... (d)

I CZECHO-SŁOWACJA TEŻ...

Jeszcze tak niedawno Czecho-Słowacja uważana była przez żydów za miejsce spokoju, cichą przystań na burzliwym oceanie nastrojów antysemickich ogarniających świat cały. I prędzej by się żydzi spodziewali wszystkiego, aniżeli tego, że rząd czecho-słowacki poweźmie oficjalnie uchwały godzące w nich jawnie, bez osłonek. Oto przed kilku dniami ogłoszono uchwały gabinetu w sprawie wysiedlenia

z granic republiki żywiołów obcych. „Żywioły obce", t. j. przedewszystkiem żydzi nie posiadający obywatelstwa, mają opuścić granicę najpóźniej w przeciągu sześciu miesięcy.

Prasa donosi, że „oficjalny komentarz wydany przez czesko-słowackie biuro prasowe mówi, że rozporządzenie w sprawie wysiedlenia dotyczy emigrantów z Niemiec łącznie z Austrią, Polski, Węgier, oraz emigrantów żydów, bez względu na to, jakiego państwa są obywatelami".

W „cichej przystani" zawrzało, a od brzegów odbiła pierwsza fala uchodźców. Ile fal tych odbije w przeciągu najbliższych sześciu miesięcy! I czy — mówiąc delikatnie — kropelki ich wody nie zbryzgają nas znowu czasami?...

Żydom pali się grunt pod nogami. Tempo akcji zmierzającej do usunięcia ich ze świata naszej cywilizacji wzmaga się z każdym dniem na sile. Sprawa postępuje coraz szybciej (tylko u nas ozonowy „Zaczyn" woła — „wolniej!")

Świat, jeśli idzie o kwestię żydowską, znajduje się niewątpliwie znowu na zakręcie historycznym, brzemiennym w skutki. Rzecz w tem, czy potrafi wskazać żydom drogę do jakiejś „ziemi obiecanej", czy stworzy nowy etap rozproszenia, tym razem nie po Europie i Ameryca, ale na globie całym. Byłbo to błąd straszliwy, do którego nie można dopuścić. Trzeba działać planowo, radykalnie i szybko.

(A u nas ozonowy „Zaczyn" wciąż swoje: „wolniej!...") (b)

„NARODOWY" TRYUMWIRAT

SEJM i Senat ujawniły już swoje poglądy w sprawie żydowskiej. Klasyczny antysemityzm (oraz „pozytywny nacjonalizm", jak opiewały afisze przedwyborcze) — reprezentują obywatele: Stahl, referent budżetu min. W. R. i O. P., Żenczykowski, oraz Sommerstein.

Tryumwirat: Stahl, Żenczykowski i Sommerstein zaatakował młodzież akademicką i władze uniwersyteckie za zajścia antypaństwowe na uczelniach i za ghetto ławkowe. Posła Sommersteina tłumaczy jeszcze od biedy zaciekłość rasowa i chęć obrony interesów ojczystego narodu, który jest zagrożony ideą i akcją. (td)

WOLNOŚĆ NAUKI I SWOBODA W ŁAWKACH

ŻYDZI bardzo chytrze łączą opór przeciwko ghettu ławkowemu z walką o... wolność nauki.

Przecież wolność nauki istnieje w Polsce, a nawet nie tylko wolność, ale najzupełniejsza swoboda. Kto chce, może uczyć, kto chce, może słuchać wykładów, niema ograniczeń prawnych pod tym względem. Swoboda nauki idzie tak daleko, że się nie zwraca uwagi na to, jak kto uczy. Prof. Kridl (żyd) w Wilnie wykłada literaturę polską w sposób bardzo zbliżony do „teorii naukowych" Wiadomości Literackich. Prof. Michałowicz w Warszawie lubi robić dygresje filosemickie, które niczem się z przedmiotem jego wykładów, z chorobami dziecięcemi nie wiążą. Prof. Znaniecki w Poznaniu, „wychodząc z założeń socjologicznych", nie dostrzega narodu, widzi wszędzie walkę klas, które nazywa „grupami społecznemi" a gdzie może, to łatkę antysemitom przypnie.

Ale żydom mało jeszcze tego, że ich obrońcy swobodnie nadużywają katedr do osłaniania ich i napadania na młodzież i ruch narodowy, oni by jeszcze chcieli, żeby po drugiej stronie sali wykładowej, w ławkach — nie było żadnego rozgraniczenia między Polakiem a żydem. Studentom żydom przychodzą z pomocą starsi. Organizacje sjonistyczne utworzyły w Warszawie: „Komitet Akcji o Prawa Żydowskie Akademików", który „proklamuje akcję walki z ławkami ghettowemi". Zobaczymy, czy do tej akcji znów wciągną swoich ławkowych obrońców — profesorów Polaków. Będzie to ciekawe połączenie masonów-internacjonalistów... ze sjonistami. (Z.)

MĄDROŚĆ PRZYWRÓCONA

„Na tę ziemię ukochaną,
Na te naszą, naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano.
By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad Pany,
Duch im prawdy z nieba dany"

(z „Przedświtu" Z. Krasińskiego).

ZNAKOMITY publicysta angielski dr. E. J. Dillon mówi o Romanie Dmowskim m. in. w cytowanej już na tych łamach książce:

„Na konferencji wystąpił w warunkach niekorzystnych, wywołanych niechęcią najpotężniejszej zbiorowości międzynarodowej naszych czasów. Wystąpili przeciwko niemu żydzi całego świata".

Wystąpili wtedy, występowali przedtem, występują i potem. Występują sami jako tacy, występują za pośrednictwem czynników nieżydowskich, sobie podporządkowanych. Ale też mają i powód ku temu. Dmowski bowiem, to nietylko polityk, który z takich czy innych powodów naraził się żydostwu, ale to genialny intuicjonista społeczny, myśliciel i filozof, który umysłem i intuicją odkrył szereg tajemnic, dotyczących tak praw, rządzących życiem społeczeństw i narodów, jak i dziejowych faktów i procesów.

Życie zbiorowe podlega pewnym prawom socjologicznym, prawom wynikającym z natury i psychiki człowieka, od których mogą być tu i ówdzie na skutek specjalnych okoliczności odchylenia, ale które są w zasadzie czemś powszechnie istniejącem, a których znajomość jest warunkiem należytego rozwiązania problemów społecznych i politycznych. Otóż ta właśnie znajomość praw społecznych, dotyczących sztuki rządzenia się narodów, owa tak zwana mądrość życiowa społeczeństw od kilkuset lat zamiera w istocie w społeczeństwach aryjskich, a staje się, mimo pozornego przez „demokrację" rozszerzenia kół decydujących, udziałem gron coraz ściślejszych, coraz bardziej zakonspirowanych, coraz więcej narodom obcych. To właśnie „unaiwnienie" narodów, uczynienie ich faktycznie bezwolnymi, choć obdarowanymi rozlicznemi prawami, oto tajemnica pilnie strzeżona, będąca przyczyną tragedyj, którym narody europejskie i z europejskich się wywodzące w ostatnich wiekach podpadły.

A obok tej „wielkiej tajemnicy", dotyczącej zubożenia duchowego i rozkładu społeczno-politycznego narodów, była jeszcze i druga, o wiele pilniej strzeżona, a mianowicie, że ta degradacja narodów, to wyzucie ich z mądrości, a nawet z instynktów społeczno-politycznych, uczynienie ich pozornie tylko niepodległymi, to nie dzieło przypadku, czy fatalistycznego procesu dziejowego, ale dzieło świadomie przez wieki prowadzonej, po dziś dzień kontynuowanej, specjalnej akcji, prowadzonej przez światowo-zorganizowaną zbiorowość, posługującą się tak własnemi siłami, jak i pozyskanemi od narodów innych. Zbiorowością tą jest naród żydowski!

Że żydostwo, rozprószone po całym świecie, pozbawione własnej, narodowej państwowości, cierpiące tułactwo i wszystko, co się z tem łączy, pozornie słabe i rzekomo tu i ówdzie ciemiężone, — stało się w wieku XVIII i XIX w rzeczywistości wszechświatową, decydującą na całej kuli ziemskiej potęgą, dyktującą najpotężniejszym państwom na świecie swoją wolę, wnikającą we wszystkie niemal dziedziny życia duchowego i materialnego narodów, — oto tajemnica będąca udziałem tylko „wtajemniczonych" umyślnie, a nie będąca udziałem tych, na których organizmie ten wielki proceder dziejowy miał miejsce.

Wprawdzie w ciągu wieków niejednokrotnie papiestwo i synody kościelne zwracały narodom uwagę na niebezpieczeństwa idące ze strony żydów, na szkodliwość lóż wolnomularskich, wprawdzie pojawiali się autorowie, którzy poświęcali nawet całe dzieła żydostwu i masonerii, ale nikt nie wpadł na myśl, by proces opanowania świata przez wymienione siły doszedł do takiego stopnia, oraz nie zauważył, jak judaizacja duchowa i materialna spaczyła i wyniszczyła władze duchowe narodów i społeczeństw, to jest ich rozum i wolę.

Dopiero Dmowski jest tym, który drogą obserwacyj, studiów historycznych i osobistych doświadczeń, a przedewszystkiem drogą genialnego połączenia i zestawienia faktów, tak współczesnych, jak i na przestrzeni wieków, i pełnego intuicji ich przemyślenia, odkrył jeden z pierwszych na świecie całą, tragiczną, dotyczącą losów ludów aryjskich i niearyjskich, prawdę. Domyślając się tej smutnej prawdy dziejowej, już pod koniec XIX wieku zaczął nietylko zagłębiać się myślami i studiami w rzeczywistości politycznej Narodu polskiego i narodów otaczających go, ale badać podstawy wogóle naszej cywilizacji, naszego życia zbiorowego, i doszedł w ciągu lat następnych do posiadania niezmiernie cennych wiadomości, nietylko dotyczących życia politycznego wszystkich niemal narodów na świecie, ale dotyczących prawd socjologicznych ogólno ludzkich, — zdobył to, co się nazywa mądrością społeczno-polityczną.

Mądrość owa była podstawą wszystkich jego poczynań i wszystkich pism. Jej to miało być poświęcone w zupełności dzieło, którego nie dokończył. Z posiadania onej mądrości płynął ów nakaz uświadomienia i zorganizowania narodu, ów nakaz walki nietylko z zaborcami zewnętrznymi, ale również walki o odżydzenie społeczeństwa i ziem polskich. Dmowski, jak nikt inny zrozumiał istotę problemu żydowskiego, problemu naprawdę na ogólno ludzką i światową miarę, zrozumiał znaczenie, jakie w całokształcie tego problemu odgrywał i odgrywa Naród polski i jego terytoria, pojąwszy, że jest to w obecnym wieku zagadnienie najważniejsze tak dla nas jak wogóle dla świata nieżydowskiego.

A zrozumiawszy to wszystko, pchnął Naród polski na drogę nietylko walki z niebezpieczeństwem, ale co ważniejsze powrotu do tych wielkich wartości i prawd, które, będąc przejawem mądrości, zostały narodom wydarte lub srodze w narodach podniszczone.

Stąd nacjonalizm, stąd katolicyzm polskiego Obozu Narodowego. Katolicyzm i nacjonalizm Dmowskiego, to nie wyraz takiej czy innej taktyki politycznej, to nie doktryna, mająca zszeregować mniejsze czy większe masy zwolenników, ale to z najgłębszych pokładów duszy wydobyty owoc przemyśleń i odczuć, to regeneracja jaźni i samowiedzy narodowej i społecznej, to powracająca Narodowi polskiemu mądrość. Polityka Dmowskiego, to już tylko konsekwencja owej mądrości. Potęga owej mądrości polegała na tem, że była ona ujęciem istotnej prawdy, owej rzeczywistej rzeczywistości, ujęciem mającem z istoty swojej również konieczny wyraz praktyczny w organizacji, pracy i walce. Stąd realizm tej mądrości, stąd skuteczność jej, ukoronowana odbudową państwa i obecnem odradzaniem się Narodu.

Ale Dmowski nietylko to pojął i w czyn wprowadził, ale również podał to do wiadomości publicznej. Stąd i ta nienawiść i to przeciwdziałanie, z jakiem ten nadzwyczajny Mąż spotykał się ze strony żydostwa i świata mu podporządkowanego. Tyle wieków proces opanowywania narodów bez przeszkód, a w każdym razie bez świadomych przeszkód, postępował, tyle lat spokojnego władania z za kulis odpowiednio skonstruowanych, przy zupełnej ignorancji o tem rządzonych eksploatowanych, a nawet niszczonych, jak np. Naród polski, a tu pojawia się Mąż, który o wiele wcześniej od myślicieli i przywódców innych narodów, o wiele głębiej i pełniej od nich, wydziera tamtemu światu tajemnice pilnie strzeżone, a wydarłszy, wyzyskuje dla odrestaurowania sił swojego Narodu, dla odbudowania mu własnego państwa, dla uczynienia go znów Narodem zdrowym, prawdę wyznającym i stosującym, zdolnym decydować w pełni o swoich losach.

Tu tkwi przyczyna żelaznej prawdy Dillonowskiej: wystąpili przeciwko niemu żydzi całego świata, a my dodajemy — i wszystkie siły z żydostwem związane.

Istny Tytan-Prometeusz, który przywrócił za pośrednictwem Narodu polskiego innym narodom świata ogień mądrości społeczno-politycznej, w ciągu wieków tym narodom wydarty.

JAN BOGDANOWICZ

INTERESUJĄCY PROCES

W DZIENNIKU „Czas” z r. 1937 ukazały się artykuły: „Nowe ognisko komunizmu” i „Na pochyłej drodze”, w których zarzucono „Klubowi Dyskusyjnemu zespół Społeczno-Narodowy” uprawianie działalności publicznej w duchu komunistycznym, a to przez „umiejętne zamaskowanie dążenia do maksymalnie możliwego zrealizowania w Polsce zasad komunizmu wzorowanego na obecnym Stalinowskim ustroju Rosji”, oraz „stworzenie ogniska myśli komunistycznej, z którego przenikać będą wpływy, torujące robotę Kominternu”.

Oto w nr. 269 (30. IX 1937 r.) „Czasu” w art. „Nowe ognisko komunizmu” czytaliśmy m. in.:

„Parokrotnie już zwracaliśmy uwagę na charakter polityczny tych organizacyj, którym patronuje minister Poniatowski, stwierdzając, że wszystkie one nacechowane są tendencjami skrajnie radykalnemi, trącącemi ideologią komunistyczną... Mniej interesującym jest w jakiem przebraniu występuje komunizm w Polsce: mieliśmy, mamy i mieć będziemy wiele jego ekspozytur. Ważniejszą jest rzeczą, kto niemi kieruje, kto je zakłada. Tym razem mamy do czynienia z zespołem, w którym przewodzą wysocy urzędnicy państwowi: pp. Bobrowski, Krzyczkowski, Szempliński, Ivanka i t. d. Dwaj pierwsi zajmują wybitne i wpływowe stanowiska w Min. Rolnictwa i Ref. Rol., są też — o ile zmiarkować można — ludźmi zaufania p. min. Poniatowskiego. Ujawnione obecnie ich tendencje społeczne i polityczne, uzupełniają charakterystykę atmosfery wpływów, wychodzących systematycznie z tego resortu rządowego”.

Kamieniem obrazy dla „Czasu” stała się programowa broszura „Podstawy doktryny społeczno-narodowej” (Warszawa — 1937, str. 31), wydana nakładem Klubu Dyskusyjnego „Zespół Społeczno - Narodowy”, Warszawa N. Świat 37 m. 15.

Dnia 15 grudnia 1938 r. odbyła się rozprawa, na którą spośród 4-ch biegłych, powołanych przez Sąd Okręgowy, stawili się: prof. St. Grabski, red. H. Glass i prof. Faberkiewicz. Biegły prof. St. Grabski przeprowadził analizę broszury i stwierdził, że postulaty jej idą znacznie dalej niż program VI Międzynarodówki Socjalistycznej. Biegły red. H. Glass w odpowiedzi zgłoszonej na piśmie na kilkadziesiąt zadanym biegłym pytań stwierdził wpływ myśli komunistycznej. Opinia ta jest ciekawa i cytujemy ją. (Biegły prof. Faberkiewicz nic istotnego do sprawy nie wniósł).

Dowiadujemy się między innymi: „na 2 pyt.: Doktryna społeczno-narodowa n i e g ł o s i w a l k i k l a s, lecz praktycznie stoi na stanowisku z b l i ż o n e m d o k l a s o w e g o gdyż zgóry eliminuje ze społeczności: 1) arystokratów, 2) część kapitalistów, 3) ziemian. Głosi ich materialne przymusowe wywłaszczenie za pewnem, nieokreślonem bliżej, niewielkiem odszkodowaniem“ (Broszura, str. 11, 12, 27).

„...Na 35 pyt.: Mojem zdaniem, synteza kolektywizmu i wolności jednostki, głoszona na str. 10-ej broszury, jest niemożliwa. Próby dobrowolnego wprowadzenia w życie takiej syntezy doprowadziłyby w końcu albo do triumfu wolności jednostki albo do ustroju komunistycznego. Gdyby taką syntezę narzucało p r z y m u s o w o państwo (lub monopartia rządząca), to nieuchronnie doprowadziłoby to do ustroju zbliżonego do komunizmu w jego sowieckich formach t. j. do komunizmu kierowanego przez biurokrację”.

We wstępie do II-ej grupy pytań biegły przypomina, że zasadniczy program gospodarczy Kominternu, mający na celu nacjonalizację wielkiego przemysłu i wielkiej własności ziemskiej, „sprowadza się do: 1) skoncentrowania rewolucyjnego uderzenia na wielkiej własności ziemskiej i wielkim przemyśle, 2) dążenia do pozyskania sympatii dla komunizmu ze strony drobnej i średniej własności ziemskiej, przemysłowej i t. d. Harmonijnie łączy się to z taktyką t. zw. „antyfaszystowskich frontów ludowych”, stosowaną na rozkaz Kominternu przez rozmaite ekspozytury komunistyczne. Dla swojej akcji p r z y g o t o w a n i a mas do przyjęcia idei komunizmu Komintern stara się wykorzystać spółdzielczość przez jej zdegenerowanie, a mianowicie, przez odchylenie ruchu spółdzielczego od rzeczywistych jego zadań (t. j. od ułatwiania jednostkom słabym gospodarczo zaspokojenia indywidualnych potrzeb gospodarczych w obecnym ustroju), i przez pchnięcie spółdzielczości w kierunku propagowania zmiany ustroju społecznego drogą wychowywania mas w organizacji k o l e k t y w n e j w ł a s n o ś c i. Kierunki dorabiające t. zw. „ideologię” do czysto gospodarczych zadań spółdzielczości”.

W rzeczonej broszurze autorowie jej głoszą na str. 25 „nacjonalizację przemysłów na nowych zasadach i reformę rolną”, a na str. 27 mówią: „należy dążyć do najszybszego znacjonalizowania tych wielkich przedsiębiorstw, które posiadają w gospodarstwie narodowem rolę kluczową, a mianowicie: a) podstawowych źródeł energii: węgiel, nafta, wielkie centrale elektryczne, b) produkcji podstawowych surowców krajowych, c) przemysłu zbrojeniowego”.

Na str. 10 tejże broszury wyjaśnia się, iż przedsiębiorstwo znacjonalizowane stanowi własność „Polskiego Narodu Politycznego“. Biegły, p. H. Glass zestawia powyższe z odpowiedniemi ustępami „Programu i statutu Komunistycznej Międzynarodówki (Kominternu)“ (Moskwa 1936 r.): „A. przemysł, transport, służba łączności (str. 74): a) skonfiskowanie i proletariackie znacjonalizowanie wszystkich przedsiębiorstw wielkiego przemysłu (fabryk, warsztatów, kopalń, elektrowni), będących własnością prywatnego kapitału i oddanie w ręce sowietów wszystkich państwowych i komunalnych przedsiębiorstw... B. Rolnictwo (str. 76—8): a) skonfiskowanie i proletariackie znacjonalizowanie całej wielkiej własności ziemskiej na wsi i w miastach (tak prywatnej, jak i kościelnej, klasztornej i t. d.) ....a następnio znacjonalizowanie wszelkiej ziemi wogóle“.

Niepokojące, niekatolickie są nowinkarskie akcenty w dziedzinie obowiązującej moralności, głoszone na łamach broszury: „Największa pierwsza, podstawowa zmiana, jaka musi nastąpić, by ludzie mogli służyć wyższej sprawie, to zmiana moralności.... Moralność stworzona dla zespołu, t. j. moralność normująca wzajemne stosunki jednostek i zespołów — ochrzczona być winna mianem m o r a l n o ś c i z e s p o ł o w e j. Zasady tej moralności różnić się będą znacznie od tego, co dziś nazywa się moralnością, nowa moralność obejmować będzie swemi normami znacznie szerszy zakres zjawisk życiowych aniżeli moralność obecna“ (str. 7).

Ostateczna odpowiedź biegłego brzmi: „Myśli zawarte w broszurze „Podstawy doktryny społeczno-narodowej“, jak to wykazałem w odpowiedziach na szereg pytań, zdradzają oddziaływanie na nie myśli komunistycznej“.

Cytujemy wreszcie za „Czasem“ (nr. gwiazdkowy, rok 1938) epilog rozprawy sądowej: „Po przerwie sędzia Choroszewski ogłosił wyrok, skazujący red. Moszyńskiego na 3 miesiące aresztu z zawieszeniem na 3 lata, oraz 100 zł. grzywny.

W ustnych motywach sąd podkreślił, że czyn oskarżonego został dowiedziony, odpowiedzialność zaś jego nie ulega wątpliwości. Dokładna analiza broszury Zespołu wskazuje, że zawiera ona punkty styczne z programem komunistycznym, jednakże nie do tego stopnia, aby można było postawić tak ciężkie zarzuty, jak to uczynił „Czas“.

Ze względu jednak na intencje, któremi kierował się oskarżony, na jego bezinteresowność, podyktowaną chęcią ochronienia Państwa Polskiego przed wpływami komunistycznemi, sąd uznał za słuszne karę aresztu zawiesić“.

W 30-TĄ ROCZNICĘ ZGONU
MIECZYSŁAWA KARŁOWICZA
(1909 — 1939)

WYDAJE mi się, że to było wczoraj, a jednak to już trzy dziesiątki lat upłynęło od tragicznego wypadku w Zakopanem. Pamiętam dobrze, jakie olbrzymie i przygnębiające wrażenie wywołała w naszem ówczesnem pokoleniu młodzieży szkolnej wieść o przedwczesnym zgonie Mieczysława Karłowicza. Echo tej lawiny, która zgasiła jedno z najcenniejszych dla muzyki polskiej istnień ludzkich, słyszane było nie tylko w Zakopanem, dotarło ono do wszystkich trzech zaborów. Karłowicz należał do tych nielicznych kompozytorów, którzy cieszyli się uznaniem i popularnością już za życia. Cichy, skromny, skłonny do rozważań filozoficznych, Karłowicz ukochał góry polskie, które odwiedzał corocznie, aż do chwili, kiedy tragicznym splotem okoliczności znalazł w nich śmierć. Nic tak wyraźnie nie odsłania sylwetki artysty, jak jego listy, te najbardziej subjektywne emanacje duszy. W jednym z nich znajdujemy następujące, jakże szczere wyznanie: „Gdy znajdę się na stromym wierzchołku s a m, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zakrzepłe bałwany szczytów — wówczas zaczynam rozpływać się w otaczającem przestworzu, przestaję się czuć odosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech wszechbytu. Tchnienie to przebiega przez wszystkie fibry mojej duszy, napełnia ją łagodnem światłem i, sięgając do głębi, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych — goi, prostuje, wyrównywa. Godziny, przeżyte w tej półświadomości, są jakby chwilowym powrotem do niebytu, dają one spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie i roztopieniu się we wszechistnieniu"...

Spowiedź duszy, ujęta przez kompozytora w formy listu do przyjaciela, jest dla mnie najtrafniejszą syntezą jego twórczości. Smutek i kontemplacja — oto dwie najbardziej charakterystyczne jej cechy. Przewijają się one jak motyw przewodni od zarania młodości aż do ostatniego, niedokończonego przez artystę poematu.

Mieczysław Karłowicz przychodzi na świat w roku 1876 w malowniczem Wiszniewie, w pobliżu wielkich jezior wileńskich. Ojciec jego, słynny uczony Jan Karłowicz, na marginesie swoich prac lingwistycznych, żywo interesuje się muzyką. W domu rodzinnym młody kompozytor znajduje nie tylko wysoką kulturę intelektualną ale i tę atmosferę zrozumienia dla swoich dążeń, która wydała nam Szopenów, Paderewskich i Zarembskich. Bardzo często wykonywano tam utwory kameralne, a szczególnie lubiane były kwartety Beethovena. Po latach dzieciństwa, beztrosko spędzonych na wileńszczyźnie, Karłowiczowie osiadają w stolicy, gdzie Mieczysław odbywa studia gimnazjalne, a następnie kształci się w klasie skrzypcowej u Barcewicza.

Równolegle z tem zapisuje się na kompozycję do najcelniejszych ówczesnych pedagogów — teoretyków: Gustawa, Roguskiego i Zygmunta Noskowskiego. Wkrótce po tem kompozycja bierze go w całkowite posiadanie. Jeszcze na ławie konserwatoryjnej powstaje pierwszy cykl pieśni (op. 1), nazywany w latach późniejszych „grzechem młodości", oparty na tekstach Tetmajera. Te pieśni, proste w swojej fakturze i przepojone szczerym młodzieńczym liryzmem, zwracają niezwłocznie uwagę. Karłowiczowi już wówczas wróżą wielką przyszłość i namawiają go do pogłębienia wiedzy kompozytorskiej zagranicą. W latach 1895 — 1900 widzimy go w Berlinie, w klasie wielkiego teoretyka ówczesnego — Urbana. Tu również studjuje Karłowicz filozofię. Owocem kilkoletniego pobytu był długi szereg większych kompozycji, a mianowicie: sonata, nowy cykl pieśni (op. 6 i 9), wiele utworów fortepianowych. W tych utworach widać już jasno wielki, nawskroś oryginalny talent. Karłowicz, aczkolwiek bardzo jeszcze młody, staje się bożyszczem dla młodszej generacji muzyków polskich. Nic więc dziwnego, że patronuje on grupie, noszącej nazwę Młodej Polski, a złożonej z czterech powszechnie już dzisiaj znanych twórców: Karola Szymanowskiego, Ludomira Różyckiego, Ap. Szeluty i Grz. Fitelberga. Przy pomocy rozumnego protektora, jakim był ks. Lubomirski, „Młoda Polska" uzyskała możliwość wydawania swoich utworów i produkowania ich na estradzie, zwłaszcza od r. 1901 w Filharmonii Warszawskiej. Okres ten był dla Karłowicza najpłodniejszy. Był to zarazem drugi i ostatni etap jego krótkiego żywota. W tym czasie powstaje przepiękny koncert skrzypcowy a-dur i długi szereg poematów symfonicznych, w których liryzm i smutek kompozytora znalazły najwierniejsze odbicie. „Rapsodia litewska", „Powracające fale", „Oświęcimowie", a zwłaszcza przepojony refleksją filozoficzną tryptyk symfoniczny p. t. „Odwieczne pieśni" — oto są bezsprzecznie najdoskonalsze utwory Mieczysława Karłowicza. „Epizodu na maskaradzie" kompozytor już nie dokończył. Ostatnie stronice partytury są dziełem rekonstrukcyjnem Fitelberga. Niewielki poczet dzieł Karłowicza stawia go pomimo to w rzędzie najświetniejszych polskich kompozytorów. Jestem głęboko przekonany, że gdyby żył dłużej, niż lat trzydzieści trzy, sięgnąłby niewątpliwie po wielkie formy opery i symfonii. Świetny instrumentator, gruntownie wykształcony twórca nie miałby w tej pracy z pewnością żadnych trudności. Wzbogaciłby muzykę ojczystą długim jeszcze szeregiem utworów. Niestety, los zrządził inaczej. W jednej z samotnych swoich wycieczek w wysokie Tatry znalazł tam po raz ostatni echa swoich „Odwiecznych pieśni", wiekuistej tęsknoty, ekstatycznej miłości wszechbytu...

I znalazł — śmierć przedwczesną, jedną z najszczerzej opłakiwanych w całej, rozdartej jeszcze na trzy zabory ojczyźnie.

ASPER

NOWE KSIĄŻKI

Oświata Polska. Dwumies. Zjednoczenia polskich tow. oświatowych. List.—grudz. 1938. Nr. 5.

Księga Pamiątkowa na 90-lecie dziennika „Czas", 1848—1938. Warsz. Str. 211 in folio.

Bontempelli Massimo. Wycieczka na tęczę. Wybór nowel. Warsz. 1939. Książnica Atlas.

Nowaczyński Adolf. Poznaj Poznań. Poznań 1939. Nakładem Drukarni Polskiej. Str. 304.

Bandrowski Kaden Juliusz. Wspomnienia i nadzieje. Warsz. (1939) Gebethner i Wolff.

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. T. XXIV. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warsz. 1939 Str. 587.

Legaut Marcel. Modlitwa wierzącego. Z przedmową Kard. Verdier. Poznań 1939. Nacz. Instytut Akcji Kat.

Balawelder Romuald. Wielka Brytania oblana jest morzem. Z ilustr. Warsz. Michalak i sp. Str. 257.

Balawelder Romuald. Polska ma dostęp do morza. Warsz. Michalak i sp, Str. 182.

Salminen Sally. Katrina. (Powieść). Warsz. Książ. Atlas.

Czyrek Jan ks. dr. Budowa nowych dróg w Polsce. Drohobycz 1939. Nakładem autora. S. 80, mapy, tab.

Rozwał Miron S. Śpiewy pomorskie. Poznań 1939.

Surówka Bregowski Fran. Legenda frasobliwa. (Poezje). Warsz. 1939. Hoesick.

Sytuacja szkoły i nauczyciela. Wyd. Zw. Naucz. Pol. Warsz. 1939 Str. 120.

Imber S. J. Kąkol na roli. Lwów 1939. Bibl. „Oko w oko". Str. 160 (żyd).

Wisłocki Sas Jul. dr. Ochrona prawna nazwisk. Warsz. 1939. Tow. Wyd. Młod. Prawników (Geb. i Wolff). Str. 36.

POKŁOSIE

ZNAMIENNE...

DWA LATA temu pułkownik Adam Koc poruszył w deklaracji Obozu Zjednoczenia Narodowego sprawę żydowską. Dłużej już na ten temat, wobec wzrastających w kraju nastrojów antysemickich, milczeć nie było można. Ale to przymusowe wyjście z sytuacji za pomocą słów deklaracji okazało się wbrew przewidywaniom kierowników obecnego *regime*'u uchyleniem furtki, przez którą zaczęły tłoczyć się nagromadzone nastroje. Dopóki były one przejawem działalności obozu narodowego, można było w stosunku do nich używać t. zw. „środków katogorycznych"; sytuacja stała się bardziej kłopotliwa, gdy instynkty narodowe odzywać poczęły się wśród członków obozu rządowego. I tak, gdy poseł Stoch wniósł interpelację w sprawie żydowskiej, musiano nań zareagować aż wnioskiem w sprawie emigracji żydów z Polski, wnioskiem bardzo, ale to bardzo oględnym. Potem przyszedł wniosek posła Kieńcia, który już koła ozonowe doprowadził do pasji.

Tygodnik „Zaczyn" w ten oto sposób karci niesforne a radykalnie w stosunku do kwestii żydowskiej nastawione jednostki w parlamencie:

„Projekty wniosków posłów Stocha i Kieńcia, opublikowane przez prasę, stały się przedmiotem żywego zainteresowania opinii publicznej. Polemiki i artykuły, plotki i domysły, triumfy jednych i nerwowa histeria innych, oto plon inicjatywy wymienionych parlamentarzystów.

Jeśli stwierdzimy zainteresowanie tą sprawą opinii publicznej, to nie znaczy to bynajmniej, abyśmy sami uznali inicjatywę posłów Stocha i Kieńcia za doniosłą i brzemienną w skutki. Tyle razy opinia publiczna reagowała najsilniej na efekty i gesty, przechodząc w milczeniu obok spraw wielkiej wagi, że i tym razem głos jej nie może być żadnym wskaźnikiem".

Czyli, że sprawa żydowska nie jest sprawą wielkiej wagi dla Ozonu. Przynajmniej szczerze. Niema co! Więc o czem mówić? Mielibyśmy wielkę ochotę poruszyć np. sprawę realizacji granicy polsko-węgierskiej. Rzecz to chyba — bez dyskusji — wielkiej wagi. Czy jednak „Zaczyn" *et comp.* nie wolałby, ażeby i tu opinia publiczna przeszła w milczeniu do ...efektów i gestów? Właśnie do efektów i gestów?

Ale powróćmy *ad rem.* Rozwiązywanie radykalne kwestii żydowskiej grozi oczywiście, według „Zaczynu", niebezpieczeństwem dla państwa. Słuszną jedynie ma być koncepcja „długostalowa", a w tej koncepcji trzeźwość odgrywać ma rolę busoli wyłącznej:

„Dlatego przy rozwiązaniu kwestii żydowskiej, przy formułowaniu zasadniczej koncepcji równie bezwzględnie należy odrzucić czysto uczuciowy antysemityzm, jak i sentymentalny filosemityzm, równie obca musi nam być postawa humanitarnych „profesorów" i „starszych pań" z Klubu Demokratycznego, jak i mistyczne monoideizmy antysemickie księdza Trzeciaka, czy też części młodzieży, która woła u stóp Jasnej Góry, że „trzeba zwalczać żydów, bo to synowie szatana"."

Rozważając w dalszym ciągu zasady, „które muszą obowiązywać w traktowaniu kwestii żydowskiej, „Zaczyn" dochodzi do sensacyjnego wniosku, że za punkt wyjścia i zasadnicze kryterium musi się przyjąć interes państwa. Tego nikt nie chce negować. Tylko, że interes tych „t. zw. zawodów wolnych" czy „sklepikarzy" jest niczem innem, jak tylko cząstką interesu narodu. To trzeba zrozumieć.

„Do projektu posła Stocha ustosunkowano się negatywnie i to nie dlatego, że pos. Stoch należy do t. zw. „niezależnych", ale dlatego, że wniosek jest nierozsądny".

A więc... „nierozsądny".

A dalej, po wysiłku udowodnienia słów przed chwilą cytowanych, oświadczenie:

„Nic więc dziwnego, że w takich warunkach O. Z. N. wyzwania nie przyjął, nie dając się wytrącić ze swej spokojnej, ale wytrwałej pracy, zmierzającej do pozytywnego rozwiązania kwestii żydowskiej.

Jedynie poseł Kieńć, wiedziony niewiadomo czy młodzieńczą nerwowością, czy też chęcią rozgłosu, pozwolił się sprowokować i przyjął narzuconą przez pos. Stocha płaszczyznę. Było to niewątpliwym błędem młodego parlamentarzysty. Poseł Kieńć był bowiem członkiem Obozu, który jest dosyć silny, aby nie liczyć się z każdą nieprzemyślaną inicjatywą z zewnątrz. Istnieje cały szereg problemów niezwykle aktualnych i pilnych, toteż w każdej chwili może sobie ktoś „niezależny" wyskoczyć z jakimś „rewelacyjnym" planem zbawienia Polski, z coraz to innej dziedziny, i zachęcony precedensem, mógłby wymagać, aby OZN natychmiast wystąpił z kontrprojektem, inaczej bowiem ogłosi się, że OZN nie docenia wysuniętego zagadnienia".

Końcowe słowa „Zaczynu":

„Hierarchii podejmowanych i rozwiązywanych zagadnień nie może O.Z.N. narzucać żaden pos. Stoch, nie może się ona wahać od wypadku do wypadku i od interpelacji do interpelacji, lecz musi być celowa i planowa i nie zależna od krzykliwych komentarzy dziennikarzy i widzów".

„Nasz Przegląd" zamieszczając w całości artykuł „Zaczynu": „Przeciw licytacji haseł antysemickich" — opatrzył go następującym komentarzem: — „Zaczyn", uchodzący za organ płk. Wendy, zamieszcza następujący, znamienny artykuł".

Że znamienny, to znamienny...

NA MARGINESIE

W kuluarach:

— Pan redaktor kwestionuje antysemityzm generała Skwarczyńskiego. On zaś radykalniej rozwiązuje sprawę żydowską, niż obóz narodowy. Wy doradzacie walkę, obciążając nią naród, a my oddajemy sprawę żydowską w ręce Ligi Narodów, która w drodze dyplomatycznej spowoduje dobrowolną emigrację wszystkich żydów.

— Ale kiedyż to nastąpi?

— To już sprawa Ligi Narodów, nie nasza.

*

Dzienniki informują na podstawie komunikatów, że w Sejmie jest tylko 9 posłów niezależnych, w Senacie — 10. Marszałkowie obu izb uznali, że można bezpiecznie udzielić tym zespołom lokali, aby się ci niezależni mogli naradzać, co z sobą robić.

*

„Kur. Warsz." komunikuje:

„Ogłoszony niedawno projekt posła Kieńcia w sprawie częściowego rozwiązania sprawy żydowskiej, złożony przez autora kierownictwu O. Z. N., do którego autor należy, został przez szefa O. Z. N., gen. Skwarczyńskiego odrzucony, a jednocześnie poseł Kieńć został upomniany przez szefa O. Z. N. za dopuszczenie do ogłoszenia projektu.

Stanowisko gen. Skwarczyńskiego wywarło w klubie O. Z. N. duże wrażenie, wywołując jednocześnie w niektórych jego kołach niezadowolenie".

Poseł Kieńć z całą dobrodusznością wziął na serio antysemityzm OZON'U..., za co został upomniany.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.